

Pogoda  
dla korepetytorów

str. 5

Fragment głośnej powieści  
Arkadego i Borysa Strugackich  
pt. „KALEKI LOS”

str. 6-7

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

# Kamena

NR 22 (894)

1 listopada 1987

Cena 20 zł

Lubelskie sylwetki

## Wybrałem teatr

ROZMOWA Z ANDRZEJEM ROZHINEM  
DYREKTOREM TEATRU IM. J. OSTERWY



Fot. Czesław Knapik

— Od dwóch i pół roku kierujesz lubelskim Teatrem im. Osterwy i twoja tutaj obecność zaznaczyła się szeregiem interesujących premier — że wspomnę tylko „Białe małżeństwo” Różewicza czy „Bettlejem polskie” Rydla w twojej reżyserii. A co ciekawszego, w Lublinie ludzie znów zaczęli chodzić do teatru. Zaczyna się jakby powtarzać sytuacja sprzed z górą dwadzieścia lat, kiedy to założony przez ciebie studencki teatr „Gong” sprawował najciekawsze jednostki z lubelskiego środowiska studenckiego i młodoartystycznego, gdy był on animatorem ogólnokrajowego studenckiego ruchu teatralnego i kiedy przedstawienia „Gongu” cieszyły się słuszną frekwencją. Potem zacząłeś reżyserować w teatrach zawodowych, dyrektorowałeś teatrom w Gorzowie Wielkopolskim, Olsztynie, Koszalinie, Szczecinie. A teraz jako „stary lublinianin”...

— Przepraszam, ale tak dla ścisłości, to ja jestem lwowianinem, gdzie się urodziłem i mieszkałem w dzieciństwie. I także — w jakiejś mierze — krakowianinem, gdzie chodziłem do szkoły. Do Lublina trafiłem dużo później. Natomiast to tutaj właśnie zaczęła się moja właściwa kariera sceniczna i tutaj narodził się mój autentyczny związek z teatrem. No i tutaj przeżyłem kilkanaście bardzo ważnych dla mnie lat.

— A kiedy zaczęła się twoja fascynacja teatrem? W dzieciństwie? Z czyjejś inspiracji?

— O nie, dużo później. Dzieciństwo miałem ciężkie, wojenne, a w głowie myśli o zdobyciu pożywienia, a nie rojenia o scenie. Mieszkałem z matką i siostrami we Lwowie, ojciec był gdzieś daleko, na froncie. A potem był przyjazd ostatnim repatriacyjnym pociągiem do Krakowa, szkoła powszechna, śmierć matki w 1955 r. i Państwowy Dom Młodzieży w Krzeszowicach pod Krakowem. Dom dla młodzieży, której zabrakło rodziców... A jeśli chodzi o inspirację... No cóż, jakoś nikt z rodziny teatrem się szczególnie nie interesował. Miałem wujka, lekarza, który był kolekcjonerem dzieł sztuki, drugi wuj zajmował się fotografią artystyczną. I to wszystko.

— A placówka wychowawcza w Krzeszowicach?

— Nasz „zastępczy dom”? Wiesz, tam przede wszystkim zwracano uwagę na to, jak nas przygotować do samodzielnego życia, po opuszczeniu murów zakładu. Oczywiście, jak w każdym tego rodzaju domu, istniał jakiś tam zespół muzyczny — graliśmy na mandolinach — był jakiś chór, uprawiano się sport. Ale to wszystko było jakieś takie „tradycyjnie konwencjonalne”, bez większej inwencji ze strony wychowawców. A w dodatku, co najbardziej paradoksalne, wychowywani na „samodzielnym ludzi”, byliśmy w murach tego „domu młodzieży” jakby zupełnie odcięci od wszystkiego, co się działo naokoło nas, w kraju. Na przykład wypadki październikowe 1956 r. prawie nie dotarły do naszej świadomości. Byliśmy swoistą enklawą, żyjącą własnym życiem, specyficznym „życiem wewnętrznym”. Chyba dopiero w ostatnim roku mojego tam pobytu, w 1958, pojawił się w świetlicy pierwszy telewizor, który też nie zawsze był czynny... „Oknem na świat” były dla mnie wypadki do Krakowa, gdzie mieszkała dalsza rodzina, i odwiedziny u kolegów z krakowskich lat szkoły podstawowej. Jeden z nich, wnuk właściciela „Księgarni św. Wojciecha”, odziedziczył po dziadku ogromny, ciekawy księgozbiór, z którego korzystałem z wielkim zaangażowaniem. I ta — bardzo wcześnie ujawniona — moja pasja czytelnicza, te wartościowe lektury, o jakie było wtedy tak bardzo trudno, to może był pierwszy krok do nie ujawnionych jeszcze pasji teatralnych... I nagle zagrałem „na deskach scenicznych” „Konrada!

Dokończenie na str. 4

## Czas jak gład?

**M**OWI się, że czas to pieniądz. Co my zatem robimy z czasem, skoro pod koniec miesiąca na stołach naszych pojawia się zwykle jedno danie w postaci mizerii (finansowej), a kolejne pensje tracą na realnej wartości? Odpowiedź jest prosta, dobrze znana wcale nie milczącej większości Polaków: my czas spędzamy albo poświęcamy na czekanie.

Czekanie — oczekiwanie stało się trwałym elementem naszego codziennego życia, ciągle przy tym rozrastającym się w tkance społecznej, jak jakiś potworny nowotwór. To już nie jest naturalna właściwość ludzkiej egzystencji, spełniającej się w czasie i przestrzeni. Takie жалowe katowanie czasu stanowi fenomen patologiczny, mający swoje implikacje w sferze ekonomii, psychologii, obyczajowości i polityki.

Czekamy w kolejkach po mięso i świeże pieczywo, po telewizory i mieszkania, po rowery i samochody. Czekamy na spóźniające się pociągi i autobusy, na załatwienie sprawy w urzędzie, na materiały i surowce. I z tego wszystkiego kłmiemy na świat cały, na ustrój, na sąsiadów, na towarzyszy kolejkowej niedoli, którzy w bieglu nas w drodze po kilogram schabu czy przedni zderzak do „FSO 1500”. Stajemy się agresywni, ale i obojętniejsi pod ciężarem czasu, który niczym gład znieruchomiał na naszych garbach.

Czekamy godzinami, tygodniami i latami. Gdyby ten czas zsumować i otrzymany wynik pomnożyć przez potencjalną energię każdego z milionów oczekujących, gwiazdy wybuchałyby nam w oczach — tak wielka okazałaby się owa moc bezpowrotnie tracąca.

Czekamy zaś dlatego, albowiem ciągle czegoś brakuje na rynku i w sferze organizacji życia zbiorowego.

A tego „czegoś” brakuje, ponieważ zapomnieliśmy, że czas to pieniądz, to pojemnik z energią, która daje wartość, jeśli ludzie znajdują motywację do jej wyzwolenia.

Drugi etap reformy gospodarczej wpisuje takie motywacje we wszystkie ważne struktury społeczno-ekonomiczne kraju, w ogóle mając na uwadze zasadnicze przeobrażenie naszego życia. Prawda, nie obejdzie się bez dodatkowych kosztów, przynajmniej na początku operacji, ale innej drogi nie ma. Na V Plenum KC PZPR Wojciech Jaruzelski powiedział:

„Jest rzeczą naturalną, że wobec zapowiedzi radykalnych reform wielu przedstawicieli naszego społeczeństwa zadaje pytanie: co my będziemy z tego mieli? Jest to jednak pytanie zbyt uproszczone. Trzeba się odwrócić i spytać: ile stracimy, ile straci państwo i całe społeczeństwo, jeśli tego wielkiego przedsięwzięcia nie doprowadzimy konsekwentnie do końca?”

Na pewno stracimy wiele czasu (i zdrowia) na czekanie w kolejkach do studeń, że to wszystko się jakoś samo ułoży i przedel czy później dojdziemy do lady, gdzie opiekuńcze państwo coś tam zawsze podrzuci.

A jak państwu zabraknie towaru, to co? A jak nie starczy nam pary nawet na pół gwizdka?

Czas niczym gład czy czas jako pieniądz — oto polska alternatywa 1987 roku.



# z notatnika

22 X. Uroczysta inauguracja nowego roku akademickiego w Uniwersytecie im. Marii Curie-Skłodowskiej, a właściwie Marii Skłodowskiej-Curie. O ile wiem, w języku francuskim najpierw stawia się nazwisko po mężu, a na drugim miejscu — panieńskie, toteż w danym wypadku tak się jakoś i u nas przyjęło.

Tegoroczna inauguracja miała szczególny charakter, bo przybył na nią przewodniczący Rady Państwa, I sekretarz KC PZPR, gen. armii Wojciech Jaruzelski.

Członkowie Senatu UMCS zajęli miejsca na scenie, pierwszy raz widziałem profesorów Zdzisława Cackowskiego i Zygmunta Mańkowskiego w takich strojach (te „gronostaje” to, przepraszam, skórki z białych króliczków czarną farbą nakrapiane?), no ale tradycja jest tradycją...

Odniosłem wrażenie, że rektor, rozpoczynając swoje wystąpienie, miał nieco tremy, ale w trakcie przemówienia odczuwałem, że ona mija. Zresztą Zdzisław, znakomity mówca, często odrywał się od z góry przygotowanego tekstu, co sprawiło, że klimat na sali stawał się coraz bardziej swojski, rzecz można — kameralny (jeżeli ów przymiotnik do rzeczownika „klimat” pasuje).

„Prowadzimy — zanotowałem — w naszym uniwersytecie pięć ogólnokrajowych, centralnych tematów koordynacji. Opracowujemy poza tym tysiąc tematów badawczych. W jednym tylko minionym roku pracownicy nasi ogłosili dwa tysiące sześćset pięćdziesiąt publikacji naukowych w naszych wydawnictwach, w naszych czasopiśmie, ale też w wydawnictwach i czasopiśmie zagranicznych. Chwalimy się w szczególności wynikami badań nad światłowodami, mamy bardzo wartościowe wdrażane rezultaty badań nad technologią szkielek porowatych, badania nad enzymami, implantacją jonów, petroskopią mas, nadprzewodnictwem, bardzo to aktualny w ostatnich bodaj miesiącach temat...”

Rektor podkreślił, że w ciągu 43 lat istnienia uniwersytetu jego mury opuściło prawie 50 tysięcy absolwentów, ponad 1500 osób zdobyło tu tytuł doktora, a 307 — doktora habilitowanego... Na studiach dziennych i zaocznych kształci się 11 tysięcy studentów.

Po wystąpieniu profesora Cackowskiego nastąpił uroczysty moment dekoracji wysokimi odznaczeniami państwowymi i resortowymi pracowników UMCS. Krzyże Oficerskie i Kawalerskie przypinał do piersi gen. Wojciech Jaruzelski, niższe — wojewoda i przewodniczący WRN, a te najniższe — prezydent (p.o.) Lublina. Odpowiednia gradacja została więc utrzymana. Odznaczeń „Zasłużony dla Lubelszczyzny” nikt nie odebrał, ale nazwiska tych, którym miało być wręczać, padły z trybuny. Gospodarze miasta tym razem jakoś nie pomyśleli o uhonorowaniu naukowców. A swoją drogą inicjatywy powinny tu być zawsze dwustronne: jeśli nawet poprzednie władze uczelni zapomniały w maju o skierowaniu odpowiednich wniosków (nie wiem zresztą, jak było w istocie) starczyło czasu, aby ów błąd naprawić.

Miło mi, że wśród osób uhonorowanych nagrodami zespołowymi i indy-

widualnymi znaleźli się m.in. współpracownicy naszego pisma: Bożena Kowalowa, Michał Lesiów, Wiesław Śladkowski i członek kolegium redakcyjnego „Kamena” — Zygmunt Mańkowski.

Wręczeniem najlepszym absolwentom uczelni dyplomów z wyróżnieniem oraz uroczystym ślubowaniem przedstawicieli studentów pierwszego roku zakończono część bardzo oficjalną. Piszę „bardzo”, bo jeszcze przecież wysłuchaliśmy wykładu doc. dr hab. Stanisława Popka na temat osobowości ludzi twórczych. Wiele myśli było interesujących, może więc warto ów tekst upowszechnić szerszemu ogółowi.

Bardzo bezpośrednio było wystąpienie gen. Wojciecha Jaruzelskiego już w mniejszym gronie: w trakcie spotkania z członkami Senatu UMCS, rektorami wyższych uczelni, obecnymi na inauguracji, i zaproszonymi gośćmi.

Generalnie podkreślił, że ta uroczystość ma dla niego i znaczenie osobiste: „Urodziłem się na Lubelszczyźnie, na lubelskim cmentarzu spoczywa moja matka, na lubelskiej ziemi, ówczesną lubelską ziemię, wkroczałem jako młody oficer Pierwszej Armii w pamiętnym lipcu 1944 roku, a potem w twardej walce o utrwalenie władzy ludowej. Nie można rozdzielać, w dzisiejszych czasach w szczególności, tych wielkich zadań, które realizować trzeba w sferze techniki, w sferze postępu technicznego, w sferze materii, nazwijmy, i tych, które wiążą się z sprawą kształtowania ludzkich myśli, poglądów, wiedzy, krótko mówiąc — ze sprawą humanistyki. Istnieje tutaj szczególnie ścisła współzależność, niosą ją obecne czasy z całą dramatyczną ostrością. Dzieło wytworzone przez technikę, w laboratorium może służyć dobrej, szlachetnej, pięknej, wielkiej sprawie, jeśli uzbrojone jest w myśl humanistyczną, w cel humanistyczny, w poczucie służby człowiekowi. Nie wiem, czy nie zawiedzie mnie szkolna łacina, ale bodajże *nullum dies sine linea* (trochę zawiodła, przepraszam: *nulla*, no ale ja mam teraz pod ręką łacińskie sentencje, więc stąd jestem taki mądry!); ani dnia bez kreski, bez czynu, bez konkretnego faktu, który służy wspólnej sprawie...”

W czasie uroczystości inauguracyjnych naszył mnie pewne myśli. Wydaje mi się, że prasa naszego regionu (dzienniki, tygodniki, łącznie z dwutygodnikiem „Kamena”, co stwierdzam samokrytycznie) ciągle zbyt mało poświęca miejsca osiągnięciom lubelskiego środowiska naukowego. Życie naukowe jest jakby w cieniu życia teatralnego.

24 X. Gmatwa się na tym naszym najmilszym ze światów! Amerykańskie siły zbrojne zbombardowały przed kilkoma dniami dwie irańskie platformy wiertnicze w środkowej części Zatoki Perskiej. Ponadto oddział komandosów zniszczył trzecią platformę. Prezydent Iranu Ali Chamenei zapowiedział, że Iran nie pozostawi tego ataku bez odpowiedzi i zastępuje odwet. Niedługo po tym oświadczeniu irańska rakietka Silkworm uderzyła w terminal załadunkowy off-shore kuwejckiego portu Al Ahmadi. Atak - odwet - odwet - atak - trwa to niebezpieczne i grane z ogniem w bliskości ogromnych zasobów ropy naftowej.

Barometrem nastrojów jest giełda światowa. Wartość akcji na giełdzie nowojorskiej spadła przeciętnie o 22,64 proc., a zatem spadek był dwukrotnie większy niż podczas głośniego krachu z 28 października 1929 r., kiedy to ich wartość zmniejszyła się o 12,8 proc. Szczególnie silnie został teraz dotknięty przemysł elektroniczny i komputerowy. (?)

W wielu komentarzach prasowych i wypowiedziach ekspertów podkreśla się, iż gwałtowny spadek kursów wynika w dużej mierze z przyczyn psychologicznych. Pierwsze objawy kryzysu na giełdach potęgują się w tempie geometrycznym wywołując panikę: sordyda pobudza do dalszej sordyda. Mówi się o efekcie „k u l i ś n i e z o w e j”, która pod ciężarem nowych, warstw śniegu powiększa się i ugniatła do środka.

Oczywiście sytuacja w rejonie Zatoki Perskiej to tylko jedna z przyczyn obecnej sytuacji na giełdach: USA mają olbrzymi deficyt budżetowy. Być może wielu wielkich inwestorów doszło do wniosku, że recesja w USA staje się nie do uniknięcia.

Pisze „być może”, bo sytuacja jest dość płynna. Po poniedziałkowym krachu na giełdach uległa ona pewnej poprawie. Kto więc kupił w poniedziałek wartościowe papiery, a sprzedał je w czwartek, mógł solidnie napelnąć sobie kieszeń. No, ale trzeba umieć grać na giełdzie, szczęście też tu się przydaje, my na razie tego typu zmartwień nie mamy, choć kto wie, jak będzie w najbliższej przyszłości. (Polskim hazardzistom musi ciągle wystarczyć superlotek i inne kraszki tego typu).

Prezydent Reagan apeluje do społeczeństwa: „Podstawowe wyniki ekonomiczne w tym kraju (USA) są dobre i nasz obywatel nie powinien wpaść w panikę. Nie, co się tu wydarzyło, nie powinna doprowadzić do recesji...”

Tymczasem interesujący komentarz zamieściła brukselska gazeta „Le Soir”. Zdaniem autora tego tekstu, krach giełdowy stanowi sygnał zmian politycznych na Zachodzie. Doszło do podważenia reaganizmu, thatcherizmu i prywatyzacji we Francji. Zachwiana została wiara w tzw. „demokratyczny kapitalizm” z milionami drobnych akcjonariuszy. Nie tylko rozwinęły się nadzieje tych, którzy leżyli na tłuście lata, ale doszło także do szoku w najwyższych sztabach politycznych. Przedstawiciele partii lewicowych zwracają uwagę, że nadeszła wreszcie kara za ultraliberalizm i dyktantyzm gospodarczy.

Jak z tego widać, każdy ma swoje kłopoty. Może to i pewna pociecha dla nas, ale skądinąd wiadomo, że dolar nad Wisłą trzyma się mocno, choć pewien mój znajomy na gwałt chciałby swoje zarobione na Zachodzie dolary wymienić teraz na westmarki. „Szkoła — powiedziałem mu — że nie zrobiłeś tego przed pięcioma laty, kiedy marka tak słabo stała”. „Ba — odpowiedział — wówczas tych dolców nie miałem...” Prawda: chceć to nie tylko móc, ale i m i e ć!

25 X. Od wczoraj pewne sprawy w Polsce stały się jaśniejsze. Znamy już pytania referendum, na które będziemy odpowiadać 29 listopada. dokonuje się reorganizacja centrum wiemy, kto będzie stał na czele nowych ministerstw. Kilka słów do reportera TV wypowiedział minister przemysłu, były szef „Polcoloru” Jerzy Bilip. Z góry zapowiedział, że nie będzie dobrym wujkiem dla deficytowych przedsiębiorstw, bo już jako dyrektor „Polcoloru” miał o to pretensje do rządu. Nie zazdro-

ści mu tej nowej posady, na której może i straci finansowo, ale leżał długoletnie doświadczenie i osiągnięcia zakładu, którym kierował, musiał ostatecznie zdecydować, że właśnie ta, a nie inna kandydatura w tej naszej grze o jutro zwyciężyła.

Czeka nas teraz trudny miesiąc: trzeba dotrzeć do wszystkich ludzi i przekonać ich co do celowości dalszych osunień reformatorskich. Nie obędzie się przy tym bez zacięnięcia pasa: byłoby jedna część rzemienia nie dociskała drugiej? Ale jakie inne wyjście? Niespoistość realizacji pierwszego etapu reformy doprowadziła do wielu zahamowań, w sferze psychologicznej obywateli również. Jak łamać bariery apatii, rozgoryczenia, niemożności? Jak trafić do serc i umysłów, jak wreszcie uwierzyć, że ta konkretna reforma, w przeciwieństwie do tych wszystkich, które próbowaliśmy wcielić w życie od wojny, tym razem rzeczywiście doprowadzimy do szlachliwego końca?

Rząd pracuje przy otwartej kasy — stwierdzenie to padło ostatnio wielokrotnie. Sadzę, że nigdy jeszcze dotąd społeczeństwo polskie nie było tak kształcone ekonomicznie. Inna rzecz, co z tej nauki pozostaje w głowach, skoro przez lata więcej się słyszało o obowiązkach państwa niż o obowiązkach społeczeństwa. Z drugiej strony państwo zagarnęło tyle dziedzin naszego życia, z gastronomią włącznie, że zwykła ludzka inżynieria uschła jak zmarzniała gałąź. Kto próbował wyrosnąć ponad przeciętność, ten często dostawał po łapach. Bywało, że najmniejszy przejaw krytyki był traktowany jako zamach na pryncypia ustrojowe. No i później, w pamiętnych latach 1980—1981, zbieraliśmy tego owoce...

Nie będę mówił, że od tego czasu i rząd i społeczeństwo wiele się nawzajem nauczyli, bo podzielił na rząd i społeczeństwo jest zabiegiem sztucznym. Zresztą i inni dziś ludzie w rządzie, inne, choć pozornie to samo, społeczeństwo i inne są trendy w całym naszym obozie. Tylko kompletny dureń zacementowany dogmatami, jakimkolwiek by one były, wytworem, tego nie rozumie!

M. A. Jaworski

PS. Z listem, wydrukowanym w tym numerze „Kamena”, Tadeusza Jasińskiego, nie będę już polemizował, ponieważ znów mogę się spodziewać najniżej odpowiedzi. Umówmy się: były dwa korytarze. Jeden w wersji niemieckiej: tak hitlerowska propaganda określała nasze województwo pomorskie, oddzielające podstawowe terytorium III Rzeszy od Prus Wschodnich. Natomiast dla nas korytarzem było to, co Niemcy chcieli uczynić, proponując przeprowadzenie przez woj. pomorskie eksterytorialnej linii kolejowej i autostrady. Powiedziałbym: korytarz przez korytarz, ale kol. Jasiński znów może mi zarzucić, że upowszechniam hitlerowską terminologię. Jeśli pozostały u kol. Jasińskiego jakiegokolwiek wątpliwości, możemy je usunąć przy lampce czegoś tam. Przy okazji: serdeczne życzenia imieninowe dla urlopowicza!

**UWAGA!**  
Przypominamy: termin przyjmowania prenumeraty „Kamena” na rok następny upływa z dniem 10 listopada.

## KRONIKA KULTURALNA

■ Lubelska Spółdzielnia Mieszaniowa, najstarsza i największa w regionie ma już 30 lat podczas których na obszarze 146 ha zbudowała siedem osiedli dla ok. 40 tys. osób rozwijając równoległe działalność kulturalną o bezprecedensowej skali i różnorodności. W ramach jubileuszu LSM odbyła się specjalna sesja (24 bm) oraz inauguracja kolejnego roku kulturalnego spółdzielczości mieszkaniowej (25 bm). Nasze gratulacje.

**kamena** 2

■ W połowie października zjechał się do Lublina dziennikarz by zastanowić się nad „Polskim drogami do magnetowidu i telewizji satelitarnej” (nazwa sesji). Szacuje się, że mamy w kraju ok. 700 tys. magnetowidów a ponadto w posiadaniu prywatnym bodaj 10 mln kaset. Wydano też 1500 zezwoleń na instalacje anten telewizji satelitarnej Technika obrazkowa to rzecz atrakcyjna w znacznym stopniu nożyteczna, chyba nieuchronna ale „grzybniająca” do m. j. do tego, że ponad 40 proc. dorosłych obywateli PRL w ogóle nie czyta książek.

■ Po raz czwarty odbył się w Tarnogrodzie Sejmik Teatrów Wsi Polskiej w którym uczestniczyło kilkanaście scen amatorskich z kilku województw kraju.

■ Oddział PTKK przy Urzędzie Województwa w Chełmie zaprzyjaźnił z efektywnymi zainteresowanymi medalierstwem. Ostatnio w jego kolekcji znalazło się kolejne dzieło przygotowane na dekadenie Oddziału przez Mennicę Państwową medal z serii „Poczet władców i osłów polskich”, poświęcony Leszkowi Białemu, którego portret na awersie wykonano według Matejki.

■ Z głębokim żalem zawiadamiamy, że w miesiącu X 1987 r. w wieku lat 21 po długich i ciężkich cierpieniach obłożony chorobami zakaźnymi zmarł nieodżałowany pamięci środowiskowy klub studencki ZSP ARCUS o czym powiadamiała rodzina i w głębokim smutku organizację „działacze, bywalec” — takim „nekrologiem” na łamach „Kuriera Lubelskiego” podziękowano Międzyinstytucji która polecała w lokalnych mediach podobnych do tych jakie sformułowały kilka lat temu ekumeniczne krąglikie muzeum regionalnego z budynku urzędniczego.

■ W 13 liceum wsiel działalności wystawien. niekier obywateli i „zadany” twórczość polskich artystów współczesnych. Galeria 77 w Chełmie przygotowała ekspozycję ekumenicznych obrazów „serigrafii” dwuszy oraz obiektów przestrzennych Georga Karla Pfahlera z RFN. Na wernisażu rezydowało wiersze i debiutowane się elektrycznym katalogiem zafundowanym przez stronę zachodnoniemiecką.

■ Natomiast w zamojskiej Galerii Sztuki Współczesnej otwarto 23 bm wystawę grafik Zygmunta Czyży z Rzeszowa, autora niebywale perfekcyjnych warsztatowo i oryginalnych w wyrazie linoriżów. Prace artysty znajdują się w zbiorach krajowych i zagranicznych, w muzeach galeriach i w posiadaniu osób prywatnych.

■ Do 13 listopada czynna będzie w Biuletynie Podlaskiej wystawa „Nabytki Muzeum Okręgowego w latach 1953—1987” prezentująca różną atrakcyjną dzieła sztuki: orzeźbione (konw. rzeźbienie odznaki wotywne z lat 1918—1935 broń biała, balna stare i nowe), fotografie wycinki z czasopism, odciski artystyczne ludowej — m. in. odcisk obrazu Bryczyna znane w kolekcji obrazów pejzażowe Bazylego Albińskiego.

■ W połowie października Lubelskie LWA urządziło imprezę w. Z przeszłości do nieobecności. Były pokazy, spotkania autorskie i pogodanki.



# Sztuka i rewolucja

Ireneusz J. Kamiński

**O**JCZYŻNO moja... Dym, ogień — i końca nie widać! — pisał Artiom Wiesioły, syn tragarza z nad Wołgi, bolszewik, uczestnik wojny domowej, której dramatyczny obraz przedstawił w głośnej książce „Rosja we krwi skąpiana”, wydanej w Polsce dwadzieścia trzy lata temu, a tak bezstronnie w rejestracji faktów, że aż mrowie przechodzi po grzbiecie podczas lektury tego zbioru reportaży, etiud literackich, opowiadań, zbudowanych na podstawie osobistych doświadczeń autora i „dwóch pudów listów od żołnierzy”.

Rewolucja Październikowa 1917 roku wstrząsnęła światem, ale najmocniej — tym najbliższym swego ogniska, rosyjskim, ukraińskim, białoruskim, który długo potem nie chciał i nie mógł się ustabilizować na nowych zasadach. Muzyką konkretną owych czasów były salwy karabinów, codziennością — głód, nędza i tyfus oraz nieustanne zmiany sytuacji na frontach walk Czerwonej Gwardii z białymi i obcy mi interwentami, z czego okrutnie korzystały przeróżne bandy, które mordowały i rabowały na wszystkie strony, śpiewając:

Ach ty, jabłuszko,  
Moje ty zielone,  
Białych wydusimy,  
Powiesim czerwonych.

Pułki leninowskie też oczywiście śpiewały, ale na sposób bardziej patetyczny:

Bije już walki godzina,  
Ludu roboczy pod broń!  
Nowe się życie zaczyna,  
Przyszłość podaje nam dłoń.

Tym żołnierzom jednak żadne życie nie było pisane. Obydwa pułki — zanotował Wiesioły — nie obeznanie z taktyką nieprzyjaciela, już w pierwszej bitwie pod stacją Mekińską zostały okrążone przez kawalerię generała Pokrowskiego i niemal doszczętnie wybite.

Można przypuszczać, że wyszło wtedy z użycia pojęcie „sytuacji ostatecznej”, bo w istocie wszystko było ekstremalne. Bywało więc, że ludzie pokpiwali ze śmierci, w scenerii swobodnego teatru ulicznego. Wiesioły przypomina jedno z takich „przedstawień”, w którym główną rolę odegrał pewien dowódca czerwonej partyzantki: Karabiny maszynowe wywozili jeszcze trele, gdy obok Dworca Czarnomorskiego zabrzmiała srebrzysta orkiestra i na oczach nieprzyjaciela Sorokin, otoczony światłem, przeszedł się wzdłuż frontu, tańcząc leżginkę i strzelając w górę z dwóch mauzerów. Partyzanci schwycili głównodowodzącego za polny malinowej czerkieski i ściągnęli go do okopu. A kiedy oddziały Denikina uciekły z pola bitwy, ruszono za nimi w pogoń, śpiewając:

Nasz Soroka atakuje  
I ciągle się śmieje.  
A kadety uciekają,  
Niech ich krew zaleje...

Kabaretowy epizod mignął nad okopem i nie była to chyba rzecz niezwykła w armii, która w 1920 roku posiadała 1210 teatrów i 911 kółek amatorskich.

Sztuka zadomowiła się na frontach, a jednocześnie rewolucja wkroczyła do sztuki, znajdując tu sprzyjające warunki kanonizacji swoich postaci i wydarzeń. Nowy ustrój rodził się w bólach, drogą heroicznych ofiar i wyrzeczonych milionów ludzi, którzy święcie wierzyli, że niosą oto wyzwolenie wszystkim uciskanym całego świata. Ta misja wymagała kreacyjnej monumentalizacji, przeniesienia w rejony wręcz sakralnego mitu, gdzie dobro jest niepodzielne, a wyrażający ducha zbiorowego symbol posiada moc rzeczywistości. W wielkich widowiskach na ulicach i placach Piotrogradu, jakie spontanicznie urządzało w latach 1919—1920, sztuka i życie, fakt historyczny i jego teatralna replika — cała materia owych misterii mieszała się dokumentnie, zyskując na sugestii. Potężne wrażenie musiałą sprawiać inscenizacje pt. „K mirowoj Kommunie” z udziałem 4000 osób czy „Wzlatie Zimnego” w wykonaniu 6000 ludzi. Wspomnijmy jeszcze, że w widowisku „Pobieda Internacjonalu” w Odessie

(1926) uczestniczył cały skład Czerwonej Floty.

Rewolucja powołała nowe, masowe audytorium kultury. Nigdy teatr, żywe słowo, pieśń, muzyka nie oddziaływały tak bezpośrednio na widza i słuchacza, jak właśnie w pierwszych latach rewolucji [...]. W tych czasach, gdy „ruszono z posad bryłę świata”, w sztuce, w teatrze szukano pobudek, zachęty, sprzymierzeńców w przeobrażaniu życia. Granice teatru i życia, wizji artystycznej i realnej codzienności zacierały się w odczuciach ludzkich. Takiej potrzeby i chłonności sztuki, teatru, muzyki nie spotkałam nigdy w tak masowym zasięgu, jak w dwudziestych latach w Moskwie — wspominał świadek tamtych czasów.

Plastycy organizowali przestrzenie miast z okazji świąt rewolucji (uczestniczył w tym i nasz Felicjan Kowarski), poeci recytowali wiersze w klubach robotniczych i koszarach, gdzie spotykało się towarzystwo tyle barwne, co mieszane, bardziej skłonne do tańców w rytmie poleczki i „marynarskiego”, niż do literackich uniesień. A jednak gdy pojawiał się tam np. Majakowski, milkły harmoszki i wesołe pogwarki, ludzie odlepiali się od bufetu. O jednym z takich spotkań poety w byłych Koszarach Gwardii opowiada Korneliusz Zieliński:

Majakowski, mimo bestialskiego zimna, zdjął palto i nakrycie głowy, nie pamiętam już jakie, lecz zostawił na szyi szeroki szal. Zaczął wygłaszać wiersz, który niebawem zrobił się słynny — „Lewa marsz”. Kiedy wypowiedział słowa: „Kolumna marszowa wzbięła! Czas próżne słowa wymazać”, jednocześnie prawą ręką rozwijając szal, a następnie, wyrzucając rękę w bok, zagrzmiał: „Teraz wy, towarzyszu ma-

uzer” — rozległy się oklaski. Audytorium od razu rozgrzało się, zamilkło i wbiło oczy w mówcę.

Ostatnie wersy publiczność przyjęła „huraganem braw”, jakby podpisując się pod wezwaniem poety:

Mocniej ścisnąć  
światu na krtani  
proletariatu palce!  
Naprzód piersi (aw!)  
Sztandarami niebo powiewa!  
Który tam ruszył prawą?  
Lewa!  
Lewa!  
Lewa!

Majakowski zdjął palto „mimo bestialskiego zimna”, które właśnie w 1919 roku nękało większe miasta Rosji radzieckiej, dotknięte zresztą i głodem. Zaprzestano wtedy ogrzewania urzędów państwowych przydzielając przecież, co znamienne, specjalną pulę opalu Teatrowi Wielkiemu, MCHAT-owi i teatrom w rejonach robotniczych Moskwy.

Spotkanie „futurysty” z żołnierzami rewolucji nie było dziełem przypadku czy sprawą okazjonalnej manifestacji populistycznych skłonności autora „Lewa marsz”. Awangarda rosyjska z miejsca opowiedziała się po stronie bolszewików, znajdując w ich programie i praktyce dobitne uwierzytelnienie własnych aspiracji do zniesienia starego porządku w sztuce, wyprowadzenia jej z salonów i muzeów na drogi realnego życia, w dosłownym rozumieniu tych słów.

W „Gazecie Futurystów” z 15 marca 1918 roku Włodzimierz Majakowski, Dawid Burluk i Wasyl Kamiński ogłaszali:

Towarzysze i obywatele, my, wodzowie rosyjskiego futurystu — rewolu-

cyjnej sztuki młodości — oznajmiamy:

1. Od chwili obecnej wraz z obaleniem ustroju carskiego sztuka przestaje kryć się w skarbcach i składach dzieł geniusza ludzkiego — palacach, galeriach, salonach, bibliotekach, teatrach.

2. W imię wielkiego postępu — zrównania wszystkich wobec kultury — niech na narożnikach domów, parkanów, dachów, ulic, na odzieży ukaze się wypisane Wolne Słowo twórczej jednostki.

3. Niech na ulicach i placach, od domu do domu biegną wielobarwnymi łukami tęczy obrazy, radując, uszlachetniając oko przechodnia.

Niech od tej chwili obywatele przechodząc ulicami nieustannie rozkoszują się głębią myśli wielkich współczesnych, oglądając olśniewającą barwność pięknej radości dnia dzisiejszego, niechaj wszędzie słuchają muzyki — melodii, grzmotów, poszumów — znakomitych kompozytorów. Niechaj dla wszystkich ulica będzie świętem sztuki.

Dwa lata później rzeźbiarze Antoine Pevsner i Nahum Gabo występują z „Manifestem realistycznym”, który zaczyna takimi słowami:

Ponad burzami naszych dni  
powszednich —  
Ponad rozwaliskami i popiołami  
zburzonej przeszłości —

Przed wrotami nie zbudowanej przyszłości ogłaszamy wam dziś malarza, rzeźbiarza, muzyka, aktorzy, poeci — wam, ludzie, dla których sztuka nie jest tylko pretekstem do rozmów, ale źródłem istotnej radości —

Nasze: — Słowo i Dzieło.

Ślepy zaułek, w którym ugrzęzła sztuka w wyniku ostatnich dwudziestu lat poszukiwań, musi zostać przebita.

Majakowski rzucił hasło: „Rasstreljwal’ Rastrellich”, w którym nazwisko wybitnego architekta rosyjskiego rokoka, Rastrelliego, oznaczać ma zmurzały akademizm. Kazimierz Malewicz, twórca suprematyzmu w sztuce, oświadcza, że bardziej ceni zwykłą śrubę, niż cerkiew Wasyla Blaźennego na placu Czerwonym. Pismo „Iskusstwo kommuny” domaga się w roku 1918 wyprowadzenia sztuki z muzeów na ulice i do fabryk: „Proletariat stworzy nowe domy, nowe ulice, nowe przedmioty codziennego użytku [...]. Sztuka proletariatu nie jest świętym przybytkiem, gdzie leniwie patrzy się na dzieła, ale pracą, fabryką produkującą nowe artystyczne przedmioty.

Awangardowy, rewolucyjny animusz doprowadzał nieraz do sytuacji paradoksalnych, poświadczających niemożność realizacji ekstremalnych programów negacji sztuki. Oto pismo „LEF”, którym rządził Majakowski, kwestionowało znaczenie sztuki, głównie poezji, a jednocześnie drukowało utwory swego animatora oraz Asiejewa, Pasternaka, Trietliakowa i innych znanych poetów, będąc nadto powiązane z Eisensteinem, Meyerholdem i twórcami nowej architektury. Teoretycznie „LEF” preferował plastykę użytkową i gazetę jako rodzaj sztuki najbardziej współczesnej, lecz w praktyce nieustannie sprzeniewierzał się takim deklaracjom.

Konsekwentnie natomiast zmierzali do zanurzenia sztuki w życie społecznym, gospodarczym i politycznym konstruktystów o orientacji produktywistycznej, tacy choćby, jak Włodzimierz Tatlin i Aleksander Rodezenko, najwybitniejsi przedstawiciele tego szerokiego nurtu, artyści niezwykle wszechstronni. Rodezenko, dla przykładu, zajmował się malarstwem, grafiką użytkową, scenografią (m. in. do „Ingi” Wilemira Chlebnikowa i „Pluskwy” Majakowskiego), architekturą wnętrz, fotografią, projektowaniem mebli i wzorów odzieży, zaznaczając swój oryginalny ślad również w filmie. To on właśnie stworzył „pierwszy fotomonta-

Dokończenie na str. 6—7



Włodzimierz Majakowski ze „Skotikiem”.

Fot. Aleksander Rodezenko



# Wybrałem teatr

Dokończenie ze str. 1

— Trafiliście do teatru?

— Ale tylko szkolnego. Co zresztą stało się zupełnie przypadkowo. W Krzeszowicach uczęszczałem do tamtejszego, znanego bardzo Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki. Nawiasem mówiąc, w Krzeszowicach wszystko wokół nosi imię Naczelnika; naszemu Domowi Młodzieży także patronował bohater spod Racławic. Otóż gdy byłem w klasie przedmaturalnej, obchodzono właśnie w kraju Rok Wypiańskiego. I nasz nauczyciel języka polskiego tak się tym przejął, że postanowił wystawić uczniowskimi siłami ni mniej ni więcej tylko fragmenty „Wyzwolenia”. Wśród innych „chętnych z konieczności” zostałem i ja włączony do powstałego ad hoc „zespołu teatralnego”. No i nagle, podczas próbnego czytania tekstów, okazało się, że jestem najlepszy w interpretacji roli Konrada. Co i mnie samego wprawiło w niemałe zdumienie. Wiesz, jak to jest w szkole: od momentu naszej „premiery” wszyscy w gimnazjum zgodnie orzekli, że moim powołaniem jest teatr oraz zawód aktora. Ponieważ tak twierdzili także nauczyciel i dyrektor, a ja jakoś nigdy wcześniej nie myślałem poważnie, kim mam zostać w dorosłym życiu, więc oto z niejaką ulgą poczułem się zwolniony z łamania sobie głowy nad wyborem przyszłego zawodu. Jak wszyscy twierdzą, że powinienem być aktorem, to pewnie mają rację.

— I co?

— I nic. Zgłosiłem się, ma się rozumieć, po zdaniu matury, na egzamin do Państwowej Szkoły Filmowej w Łodzi. Ale że byłem zupełnie nie przygotowany — bo kto mnie zresztą miałby przygotowywać do aktorskiego zawodu w Krzeszowicach? — oblałem. Wtedy spróbowałem na polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Udało się, zostałem przyjęty. I, o paradokse, wtedy właśnie, podczas pierwszego roku studiów na polonistyce, zaczęła się moja prawdziwa fascynacja teatrem i moje pierwsze wejście w krakowską atmosferę intelektualną.

Koniec lat pięćdziesiątych to był niezwykle płodny okres dla krakowskich teatrów — Teatru Starego i Teatru im. Słowackiego. Działał też, założony przez Waldemara Krygiera, awangardowy, studencki „Teatr 38”; zresztą był to początek najlepszych lat polskiego teatru studenckiego. Uczestnicząc w tej atmosferze, jeszcze jako widz, aktywny obserwator, bywalec teatralnych spotkań i dyskusji, doznałem nagle jakiegoś „rozjaśnienia”. Uświadomiłem sobie, że moim powołaniem naprawdę, a nie dlatego, że ktoś tak ze znajomych czy kolegów uważa, jest teatr. Tylko, że wówczas wydawało mi się, iż w moim wypadku teatr to aktorstwo. Rzuciłem polonistykę i złożyłem papiery do krakowskiej PWST, przyjęto mnie na Wydział Lalkarski.

— No dobrze, ale już wkrótce potem, w 1960 r., znalazłeś się w Lublinie. I znowu na studiach polonistycznych, na UMCS-ie. Nie zaprzeczysz, że twoja droga do teatru prowadziła dziwnymi meandrami?

— Myślę, że składały się na to różne przyczyny. Przede wszystkim dość szybko uświadomiłem sobie w szkole teatralnej, że w mojej psychice, w mojej osobowości, jest coś takiego, co nie pozwala mi na podporządkowywanie się czyjejsz wizji artystycznej, dopuszczanie czyjejsz codziennej presji, zaakceptowanie tych wszystkich rygorów, jakich wymaga codzienna praca na scenie. A więc teatr — tak, aktorstwo — chyba jednak nie. Co nie znaczy, że później przez kilka lat nie „paralem” się, właśnie w Lublinie, aktorstwem w sposób profesjonalny, na scenie lalkowej. Zostało to potwierdzone eksternistycznym dyplomem aktorskim uzyskanym właśnie w krakowskiej PWST. Lecz do Lublina trafiłem głównie z przyczyn osobistych.

— To było twoje pierwsze zetknięcie się z Lublinem?

— Właściwie drugie. Bo pierwszy raz znalazłem się tutaj w 1954 r., przyjeżdżając na jeden dzień ze szkolną wycieczką na otwartą na Podzamczu wielką ogólnopolską wystawę rolniczą. Przyznam, że wówczas, jako chłopcu, wydał mi się Lublin zupełnie nieatrakcyjny. Zapamiętałem go jako miasto liczących placów, ulic wyłożonych „kocimi łanami”, a przede wszystkim — co dla mnie, krakowskiego ucznia, posiadało niezwykle znaczenie — miejsce, gdzie nie ma tramwajów. Co to za miasto — bez tramwajów! Więc rozpocząłem studia na UMCS-ie. A ponieważ trzeba było z czegoś żyć, zgłosiłem się do dyrektora Teatru Lalki i Aktora, Stanisława Ochmańskiego, żeby mnie przyjął jako adepta, argumentując, że już trochę „liznąłem” wiedzy o zawodzie lalkarza na studiach w Krakowie.

— Pamiętam, że zaczynał się wówczas bardzo szczególny okres dla Teatru Lalki i Aktora. Ochmański, który przyjął przed dwoma laty z Łodzi, „rozkrecał” z ogromnym rozmachem ten teatr, trochę dotąd wegetujący na wojewódzkiej

dotacji kulturalnej, a od niedawna wreszcie upaństwowiony.

— Właśnie. I dla mnie także następne lata pobytu w tym teatrze stały się okresem bardzo szczęśliwym. Nie tylko ze względu na pracę artystyczną, ale także dlatego, że Ochmański należał do tego rzadkiego gatunku ludzi, którzy nie „zawidza” swoim podwładnym ich rozwojowi, sukcesom na polu artystycznym. Zgodził się tak ustawić moje zajęcia w teatrze, abym mógł odbywać normalne, dzienne studia. I nie protestował także, kiedy założyłem studencki teatrzyk „Gong 7,30”, którego prowadzenie zabierało mi przecież coraz więcej czasu.

Tam, u Ochmańskiego, miałem możliwość stykania się na co dzień z wieloma wybitnymi przedstawicielami teatru lalki — z reżyserem Dormanem, z Jurkowskim, pojawiał się u nas także od czasu do czasu, pisząc muzykę do wystawianych tutaj sztuk, Krzysztof Penderecki... U Ochmańskiego doskonaliłem się również w grze w tzw. żywym planie, bo on lubił wyprowadzać aktora przed „parawan”. W ogóle prowadziłem wówczas życie intensywne „dwi-” albo i „trzybiegowe” równocześnie.

— I jeszcze występowałeś w kabarecie „Czart”...

— Faktycznie, tak było.

— I jako jeden z pierwszych studentów w Lublinie jeździłeś samochodem marki Syrena.

— Właściwie najpierw to dorobiłem się roweru, potem motocykla, eshaelki. Ten rower, zapożyczony zresztą, kupiłem wkrótce po zaangażowaniu się u Ochmańskiego. Co tu ukrywać, niebogatą się wówczas żyło. Zarabiałem miesięcznie 960 złotych, a rower kosztował 1600. Dostałem, a także, „służbowe” mieszkanie.

— W słynnym drewnianym baraczkach na podwórzu przed teatrem?

— Innymi „lokalami” dla aktorów, o ile sobie przypominam, teatr wówczas nie dysponował. Więc mieszkaliśmy tam nader „rodzinnie”, oddzieleni od siebie tylko cienkimi przepierzeniami. W jednym „boksie” Fred Kosmala, w drugim Wanda Wilhelm, w trzecim ja, w jeszcze innym Pola Siroń, która teraz u mnie, w Teatrze Osterwy, jest kierownikiem pracowni plastycznej. Zimą, jak się rano budziliśmy, to wieczorna herbata pozostawiona w kubkach — bywała zamarznęta. I tak było aż do 1966 r., to znaczy do czasu, kiedy się ożeniłem.

— Widzę, że mimo wszystko wspominasz tamten okres życia z dużym sentymentem.

— Tak. Był piękny i ciekawy. A działo się tak dlatego, że robiliśmy u Ochmańskiego przedstawienia, które naprawdę podobały się dzieciom, dzieci zaś naprawdę chętnie i tłumnie chodzili do teatru. A przecież istotą teatru i istotą aktorstwa jest kontakt z widzem. No i ciągle jeździliśmy w teren. Po całej Lubelszczyźnie. To wiązało z regionem, z różnymi ludźmi, wymagało elastyczności, umiejętności nawiązywania kontaktów. I ta wiedza przydała mi się później w pracy reżyserskiej.

— Pomówmy może teraz o twoich doświadczeniach jako reżysera studenckiego „Gongu 7,30”, a następnie „Gongu 2”.

— Nie miałem, robiąc ten teatr, żadnego doświadczenia reżyserskiego. Ono się rodziło jakby samoistnie, z każdym kolejnym przedstawieniem. Zresztą inne zadania reżyserskie stały przede mną (i kolegami, z którymi pracowałem) w przypadku kameralnego teatrzyku „Gong 7,30”, a inne w przypadku dysponującego wielką, doskonale wyposażoną sceną „Gongu 2”, mającego swą stałą siedzibę w nowo zbudowanej „Chatce Żaka”.

— Jednak zarówno w pierwszym jak i drugim przypadku opierałeś się głównie (z nielicznymi wyjątkami) na opracowywanych przez siebie scenariuszach?

— Tak. A wzięło się to ze swobodnego polonistycznego zacięcia, z mojej jakby niewiary w umiejętność wypowiedzenia się za pośrednictwem „gotowej” dramaturgii. A potem już w tym zagostowałem. I tak szło — od spektaklu kameralnego, jakim był „Twój powszedni morderca”, oparty na tekstach Marianny Alcoforado, Louisa Aragona i Wiktora Woroszyńskiego, poprzez wymagające szerokiej inscenizacji „Pieśni i songi pana Brechta”, aż po „Za! Kronikę rewolucji”, przedstawienie oparte m. in. na książce Johna Reeda „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem”, i po szereg innych realizacji scenicznych.

Skąd te „wielkie inscenizacje”? Między innymi także stąd, że otrzymaliśmy w „Chatce Żaka” po temu warunki, że został nam udostępniony warsztat, który „żądał wypełnienia”. A dlatego, na przykład, wzięłem się właśnie za Brechta? Przecież w owych latach jakiejś specjalnej hoosy w teatralnej Polsce na Brechta nie było. Ja sam też nie miałem możliwości zachwycenia się Brechtem jako widz teatralny. Dziś wydaje mi się, że w moim wypadku wzięcie się właśnie za jego pieśni i songi było wynikiem odpowiadającej mi ekspresji, dla Brechta charakterystycznej, jego „wojującego pacyfizmu”. Ja w ogóle jestem bliższy „tekstom interwencyjnym”.

— A „Za! Kronikę rewolucji”, co leżało u źródeł jej powstania?

— Wynikła właściwie przypadkowo, z jednego z moich życiowych doświadczeń, czy raczej dzięki pewnemu niespodziewanemu zafascynowaniu. Otóż w 1966 r. byliśmy z „Pieśniami i songami pana Brechta” na studenckim artystycznym tournée po Związku Radzieckim, graliśmy w Moskwie, Kazaniu i Charkowie. Poznałem wówczas wielu młodych Rosjan. Brecht był dla nich całkowitą nowością, teatralnym objawieniem. A dla mnie z kolei było to spotkanie z „folklorem” Rewolucji Październikowej. Nie z jej zapisaną w książkach historią, ale z tym, co pozostało wciąż żywe w pieśniach i piosenkach, nadal śpiewanych przez spotykanych młodych ludzi. I po powrocie do Lublina postanowiłem, w związku z przypadającą pięćdziesiątą rocznicą Wielkiej Rewolucji Październikowej, stworzyć specjalne widowisko. Zupewnia jednak inne niż dotychczas: nie tylko mówione, ale także śpiewane, oparte w znacznej mierze na melodiach i piosenkach, jakie nagrałem podczas pobytu w Związku Radzieckim. I wyszło coś zupełnie nowego: przedstawienie, które stało się swoistym odkryciem, m.in. także dla uczestników kolejnej Lubelskiej Studenckiej Wiosny Teatralnej, którą „Gong” przez szereg lat organizował i na którą jeździły się najciekawsze studenckie teatry z całego kraju.

Z kolei „Dialog na Święto Narodzenia” powstał w wyniku moich polonistycznych fascynacji dramatem staropolskim. Co stało się za sprawą mojego uniwersyteckiego wykładowcy, wspaniałego człowieka i wielkiego znawcy literatury staropolskiej, profesora Juliana Lewańskiego.

I w ten sposób można mówić o każdym przedstawieniu, w wypadku każdego reżysera. Zawsze rodzi się ono z „odorysku” jego życiowego doświadczenia, z jakiejś jego życiowej przygody.

— Zrealizowałeś ponad trzydzieści przedstawień studenckiego teatru i ponad trzydzieści jako reżyser w teatrze zawodowym. Byłeś dyrektorem w czterech zawodowych teatrach, dyrektorujesz w piątym; masz rodzinę, pozycję zawodową i czterdzieści sześć lat. Nie irytuje cię to ustabilizowanie? Masz jakieś szczególne marzenia?

— Tak. Chciałbym spróbować sił w filmie. Częściej niż dotąd reżyserować w telewizji. Bo jako reżyser teatralny jestem już trochę tą właśnie konwencją pracy znudzony. Nie znaczy to, że jestem nią znudzony. Ale właśnie — chwilami — znudzony. Teatr to, przy całej jego iluzyjności, swego rodzaju codzienność. Ustalony, określony kalendarzem, rytmem pracy. Czasami tęsknię za pracą „szybką”. Taką właśnie, jaka jest charakterystyczna dla kina czy teatru telewizyjnego, gdzie potrzebna jest kolosalna koncentracja, wielkie stężenie działania, nagły, kolosalny wysiłek. I potem długa chwila oddechu.

Fascynuje mnie także praca z aktorami obcojęzycznymi, za granicą. Szczególnie te momenty gdy następuje u zupełnie, wydawałoby się, obcych sobie ludzi, władających różnymi językami, chwila nagłego, ponadjęzykowego porozumienia — poprzez gesty, intonację głosu, spojrzenie, przez jakąś wspólną dla wszystkich ludzi teatru na całym świecie „magię sceny”.

Myśle też o tym, jak będą wyglądały próby przygotowywanego przeze mnie przed sześciu laty przedstawienia „Samobójcy” Erdmanna, do których kontynuowania zaprosiła mnie teraz dyrekcja warszawskiego „Ateneum”. Będą to próby z tym samym zespołem ludzi, co wówczas. Czy coś zostało w ich pamięci z naszych dawnych prób? Co przetworzyło się w nich samych w ciągu tych lat? Jak oni teraz rozumieją swoje role, jak będą chcieli je zagrać? I na ile ja sam się zmieniłem jako człowiek i jako reżyser? Taki dziwny, niespodziewany, postawiony przez samo życie mnie i im — test.

— W latach sześćdziesiątych byłeś jednym z głównych „filarów” studenckiego teatru w Polsce. Ale, rzecz ciekawa, spośród licznych liderów tamtego teatru tylko niewielu trafiło do teatru zawodowego, a nazwiska i postaci wielu znanych animatorów tego ruchu jakby się gdzieś „rozplynęły”. Co o tym sądzisz, jaka jest tego przyczyna?

— Chyba trudno odpowiedzieć na twoje pytanie. Nielatwo o jakieś recepty czy oceny w tym względzie. Może po prostu życie dla wielu ludzi potoczyło się w taki, a nie w inny sposób... Może niektórzy nie potrafili, czy nie chcieli, przekroczyć pewnej granicy. Nie widzieli sensu wejścia w swoisty kierat związanych z zawodowością zależnością, codziennością pracy, różnych uwarunkowań, itp. Kiedy przestaje się już być studencką teatralną „rodziną”, wspaniałą grupą, gdzie nie dba się o dobra doczesne, gdzie życie płynie jakoś bardziej radośnie, bez tych wszystkich obciążań, jak pieniądze, mieszkania, własne rodziny... Część więc wróciła do wyuczonych zawodów, które teraz uprawia. Inni zostali przy swych dawnych teatrach nie potrafiąc już zaproponować niczego nowego, interesującego. A tylko bardzo nieliczni, jak Litwiniec w „Kalamburze” czy Jasiński w „Teatrze STU” lub Mądzik ze swoją Sceną Plastyczną, potrafili stworzyć zupełnie nowe wartości. Do teatru zawodowego na stałe przeniknęli chyba tylko, poza mną, Herman, Krygier, Major i nieżyjący już, Kajzar.

Ale tutaj znowu możemy tylko mnożyć pytania. Może gdyby na przykład kilkanaście lat temu Marek Okopiński nie zaproponował mi, „studenckiemu reżyserowi”, reżyserii w swoim teatrze w Gdańsku — poszedłbym zupełnie inną drogą życiową i dziś robiłbym zupełnie co innego?

Rozmawiał: Mirosław Derecki



**W**IESZ, ile mnie kosztują korepetycje? Cateringowo, tysiące złotych... — i jakby uprzedzając moje pytanie dodał szybko: — Miesięcznie.  
— To chyba więcej niż zarabiasz? Z czego wy, człowieku, żyjecie?  
— No jeszcze żona pracuje a poza tym rodzice mają jako taką gospodarke. Oczywiście pomagam im, ale tylko mogę. W tym roku cały urlop spędziłem na wsi...

Jerzy jest inżynierem. Ma jedną córkę, Beatkę, która postanowiła zostać lekarzką. Przystępowała w tym roku do egzaminów, niestety, zabrakło jej kilka punktów. Zaparła się, w przyszłym roku chce startować ponownie.

— Kazik, syn mego dobrego kolegi — powiedziałem — też nie zdał, poszedł na praktykę do szpitala, aby jakieś punkty dodatkowe uciąć. Nie mogłeś wysłać córki?

— Nie bo w grudniu wyjedzie na dwa miesiące do ciotki w Anglii. Głównie chodzi mi o język, niech się trochę podciągnie. Język też jej się przyda na egzaminie.

— A te korepetycje jakich dotyczą przedmiotów?

— Widzę, że jesteś zielony! Chemia, biologia i fizyka. Wystarczy ci?

Nigdy te gałęzie wiedzy specjalnie mnie nie interesowały, chociaż o takim pantofelku, który ma łacińską nazwę, o ile dobrze pamiętam, paramecium caudatum, pisałem przed maturą referat, który potem przedstawiłem kolegom na lekcji biologii. Profesor znalazł się odpowiednio i w czasie maturalnego egzaminu właśnie ów pantofelek mnie zapytał. Odpowiedziałem świetnie i otrzymałem ocenę bardzo dobrą. Gorzej by było, gdybym musiał się męczyć nad taką, na przykład, krową!

Teraz przypominała mi się ta matura, której tak obawialiśmy się, ale cała nasza gromadka, lepiej czy gorzej, zdała w komplecie. Nikt z nas nie brał żadnych korepetycji. Ponieważ jednak polonistka szczególnie przepadała za okresem romantyzmu, walczyliśmy Mickiewicza i Słowackiego aż do znużenia. Na pozytywizm jeszcze czasu starczyło, ale z Młodą Polską już były kłopoty. Ale jednak i ten materiał opanowaliśmy w godzinach, jak to się dziś mówi, nadliczbowych. W praktyce wyglądało to tak, że przychodziliśmy do pani od polskiego całą grupą w godzinach przedwieczornych. Przychodziliśmy do jej prywatnego mieszkania. Nie, nie była to jakaś willa, ot, zwykły, duży, bo duży, pokój. Siadywaliśmy na krzesłach, fotelach, na dywanie, co miało swój urok. Oczywiście rzecz działała się w latach powojennych, a nasza klasa liczyła coś około dwudziestki uczniów.

A co z literaturą międzywojenną? Wówczas to była świeżyna! Skamandrytów przelecieliśmy po lebkach, ja jednak byłem trochę i w tej dziedzinie zorientowany, bo należałem do koła literackiego, którego patronem był Kasprówcz. To zobowiązywało, więc Kasprówcz miałem obkutego na blachę, ale udało mi się zainteresować kolegów, z różnych klas zresztą, twórczością Przybosa. Szło to jak po grudzie, Gałczyński i Tuwim bardziej przemawiali.

Zaczęłam o tym wszystkim opowiadać Jerzemu, młodszemu ode mnie o pokolenie, słuchał jak bajki o żelaznym wilku. W końcu skonstatował:

— Ja jednak brałem korepetycje. I to właśnie z polskiego. A poezja, chłopie, to ciągle moja dieta Achillea. Nie rozumiem poezji, słowo honoru ci daję, że jestem kompletną nosą. Kupuję „Kulturę”, próbuję czytać, wydaje mi się, że taki już tuman nie jestem, i cholera, wszystko to dla mnie czarna magia. A przecież krzyżówki rozwiązuje, nawet czasem jakaś nagroda mi wpadnie. Nie wiem, dla kogo ci współcześni poeci tworzą? Tak mi się wydaje, że dla potomnych, bo podobno współcześni takiego na przykład Norwida też nie rozumieli.

— A ty rozumiesz?  
— Egzaminiujesz mnie? Już bardziej niż... Do licha, nawet nazwisk tych młodych geniuszy nie znam. Nie pamiętam po prostu.

Zmienilem temat i wróciłem do tych korepetycji, bo owe czterdzieści tysięcy złotych drażyło mnie jak świader.

— Wytłumacz mi, do jasnej Anielki, na co ty właściwie tę forsę wydajesz? No i kto ją bierze? Słyszysz ciągle, że nauczyciele żyją jak pariasi.

— Różnie bywa! Czy ty wiesz, że dzisiaj korepetycje są modne nawet w szkołach podstawowych?

— Zwarłowałeś?

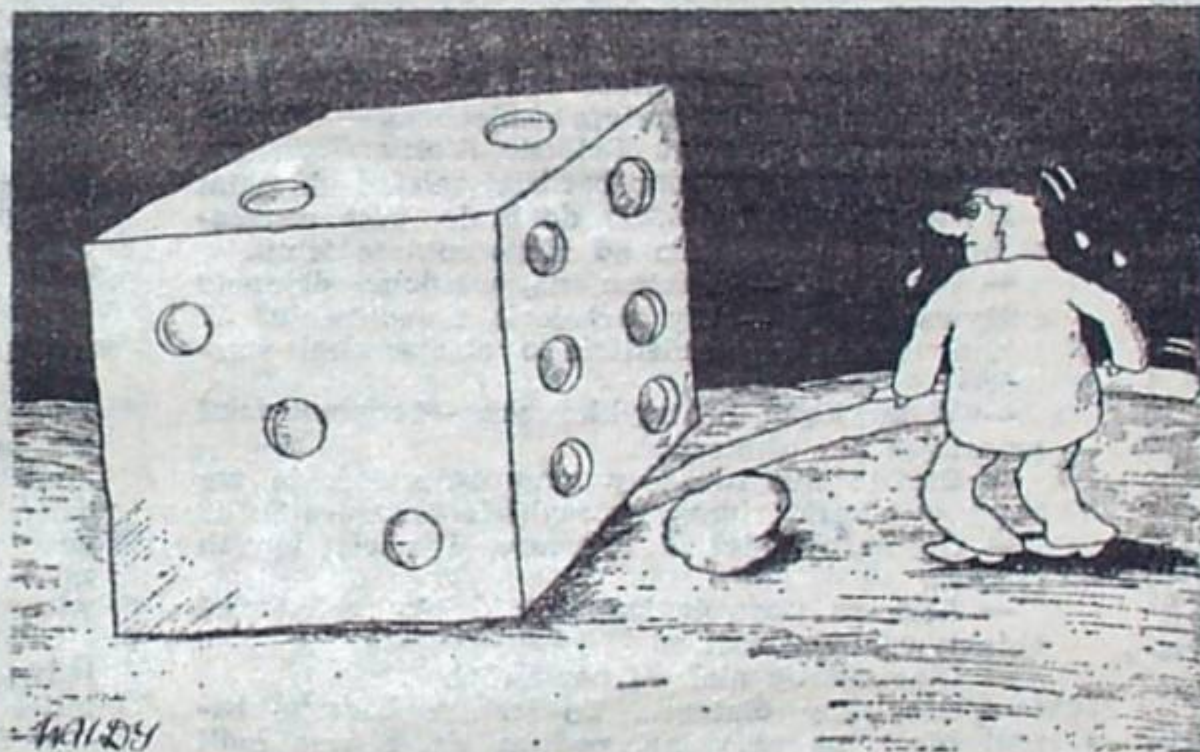
— Ja nie, to raczej świat zwarłowa-

wał. Programy, chociaż je ostatnio nieco odchudzano, są przeladowane nauczycielka leci z materiałem jak per-shing, zadaje do domu, a potem wymaga. Kto nie umie, temu stawia banki. Rodzic, gdyby nawet chciał, to też niewiele może pomóc bo sam głupi jak labaka w rogu. Zresztą po co mu? Weźmie do ręki kalkulator i wszystko ma jak na dłoni.

— Wrodzona inteligencja? Głównie za przeproszeniem. Byłem w miarę mocny w elektronice. Mówiłem, że by tu można zrobić gdybyśmy to czy tamto mieli. Przynosiłem trochę zagranicznych czasopism. Znam ten angielski, to im tłumaczyłem. No i tak rósł mój autorytet. A ja, po prawdzie, podpatrywałem ich.  
— Uczeń przerósł mistrzów?

# Pogoda dla korepetytorów

Krzysztof S. Zalewski



Rys. Waldemar Rukś

— Wiem, że są szkoły, w których kalkulatory nie znajdują się na indeksie — zaryzykowałem.

— Owszem, ale przede wszystkim uczeń musi dojść do wszystkiego sam. Musi zrozumieć. Zresztą nie tylko o matkę tutaj chodzi. Inny był program twojej szkoły, inny mojej, a jeszcze inny mojej córki. Ciebie uczył pedagog, który zdobywał wiedzę przed wojną, mnie już ten powojenny, córkę też uczy powojenny, ale czasem bardziej powojenny. Pomieszanie z poplątaniem. On uczył się według innego programu, a sam musiał nauczać według tego nowego, zreformowanego.

— Zaraz, zaraz — przerwałem — przecież ów nauczyciel zdobywał wiedzę na uniwerku. To, co przekazuje swym wychowankom, nie wywodzi się z jego lat szkolnych, ale późniejszych.

— Sam studiowałem i mam swoje zdanie na ten temat. Dopiero, kiedy zacząłem pracować, wyszło szydło z worka. Ja wszystkiego musiałem się uczyć praktycznie. Praktycznie, rozumiesz? Chłopak po zawodówce mógł mnie zrobić w konia. Udawałem mądrzejszego niż byłem w istocie. „Panie inżynierze, panie inżynierze, niech pan spojrzy, niech pan poradzi...” Skurczybyki sprawdzali mnie, a sami wiedzieli, jak to zrobić.

— Wybrnąłeś?

— Zartujesz... — Powiedział to, ale wyczułem, że zrobiło mu się przyjemnie. — Wielkiej filozofii tu nie było, ale co praktyka, to praktyka. Teoria bez praktyki to jak samochód bez zwykłej świcy. O, popatrz, przypomniało mi się. Samochód mam od dziesięciu lat. Ja, inżynier, dziś czterdzieści lat. Balem się jeździć. Balem się naprawdę. A tu patrz taki ów... Cwok, bo go dobrze znałem, ślalom na szosie uprawia i radzi sobie znakomicie. No to co, pomyślałem, ja nie potrafię? Oblałem jazdę, choć teoria poszła mi na medal. Za drugim razem już się udało, ale też wzięłem korepetycje, ładowałem portfelowe akumulatory. Wyszło? Wyszło! I dziesięć lat jeździć bez wypadku, a kierowca w naszej firmie już miał ich całery. Nie wywaliłiśmy go, bo to nie były takie wielkie hece, a poza tym zbyt wiele forsę od nas nie ciągnie... Gdzie my i za ile znajdziemy lepszego?

Znów odbiegliśmy od tematu.

— Jurek — przerwałem mu nieco brutalnie — powiedz mi wreszcie, na co ty te czterdzieści tysięcy miesięcznie wydajesz? Bo mi się wprost nie chce wierzyć...

— Jak ci wnuczka urośnie, to sam zobaczysz. A więc po kolei. Za godzinę lekcyjną, lekcyjną, czyli za mi-

nut czterdzieści pięć, pięć od tysiąca pięćdziesiąt do tysiąca osiemset złotych.

— Chwilęczkę — mow przerwałem — gdybyś się z kimś dogadał, kosztowałyby cię taniej.

— Nie rozumiem.

— No tak. Uczy się dwójka. Wówczas, tak sobie myślę, płacicie na przykład nie tysiąc osiemset ale dwa tysiące. Po tysiąc od lebka...

— Ale z ciebie kompletna nosa! Moja córka chodzi z koleżanką i kolegą na fizykę. Wszyscy płacą po tysiąc osiemset.

— Oszałałeś? To wykładowca ma pięć tysięcy czterysta za czterdzieści minut?

— Dochodzisz do siebie. Tak jest. To nie koniec, mój drogi. Komplecik wychodzi i przychodzi następny. Zostaje te pięćnaście minut czasu aby wykładowca, za przeproszeniem, wysłuchał się, ewentualnie zamrósł co nieco i już się zjawia następna trójka. No i następuje pięć tysięcy czterysta złotych... Ty jesteś dziennikarz, powiedz mi, czy zarobisz dziesięć tysięcy osiemset złotych za dziesięćdziesiąt minut no, za dwie godziny?

— Sekunda, sekunda — moja dziennikarska natura zaczęła brać górę nad emocjami, a właściwie i jedno i drugie zjednoczyło się całkowicie. — Za chemię i biologię, no i może za angielski też płacisz po tysiąc osiemset?

— Nie, to bywa różnie. Ale poniżej półtora tysiąca nie wychodzi. Z tym, że... Widzisz, za taką biologię płacę tysiąc pięćset za godzinę, i to jest uczciwa godzina i córka jest wyłącznie sama. No, ale biologia trochę niżej się liczy niż chemia czy fizyka. A poza tym wszystko zależy od pazerności, tak, pazerności, ludzi.

— Mam jeszcze jedno pytanie...  
— Wal śmiało...

— Kto tych korepetycji udziela? Pedagogzy ze szkół średnich?

— Powiedziałbym ci, ale pod warunkiem...

— Jakim?

— Ze nie podasz miasta. Przyjechałem do ciebie... Kochany, ja ciebie znam, ty to wszystko opiszesz! A potem moją córkę wyrzucą z tych korepetycji na zbity pysk.

— Słowo honoru. Choćby mnie na kawalki krajali.

— Dobra. Więc to są wykładowcy, broń Boże nie lekarze, którzy uczą na Akademii Medycznej. Znajdą dotychczasowe testy, wiedzą, co ewentualnie może być, co nie być, rodzice mają do nich zaufanie. No bo jeśli pracuje taki ktoś na AKADEMII! Samo życie.

— Może też myślą, że ewentualnie coś w razie czego im pomogą?

— Na to raczej nie liczą. Przynajmniej ja nie liczę. Testy są ściśle tajne, a przecieki, które kiedyś bywały, to już chyba przeszłość. Niemniej na przeciętnego rodzica, a ja się za takiego uważam, działa magia. Iksińska wyklada na Akademii Medycznej. To nie cialo pedagogiczne ze szkoły średniej! A nuż ta Iksińska w razie czego się przyda? Ona guzik pomoże, ja to wiem, ale w podświadomości coś jednak tkwi... Ale to się wszystko w głowie nie mieści! Taki wykładowca ma miesięcznie kilkadziesiąt razy więcej niż profesor no, może nie światowej, ale krajowej sławy!

— Obliczyłeś dokładnie?

— Dokładnie tego nikt nie obliczy. Ale założymy, że taki fachman ma dziennie cztery komplety. Trzy osoby po tysiąc osiemset. Razem wychodzi dwadzieścia jeden tysięcy sześćdziesiąt dziennie. Pamięń to przez no... dwadzieścia sześć dni w miesiącu, a potem przez sześć, a nawet dziesięć miesięcy. I uzmysłów sobie, że to nie jest absolutnie opodatkiwane. Pieniądze idą z rączki do rączki. Urząd Skarbowy to Mars, Wenus, Jowisz... Co ci będę jeszcze mówić?

Właśnie, co? Ale ja w tym momencie pomyślałem sobie, że w czasie hitlerowskiej okupacji były w naszym domu trzy tajne komplety nauczania. Nie no czterdzieści pięć minut! Każdy komplet to były w sumie minimum trzy godziny nauki!

Matka miesięcznie brała za miesięczne nauczanie od osoby dwa kilogramy rąbanki lub równowartość owego mięsa. Za tajne nauczanie płacilo się za głowę. Dostawnie. Obóz koncentracyjny to w większości wypadków też był wyrok śmierci.

Niech to wystarczy za komentarz, choć oczywiście zdaje sobie sprawę, że jeden by nie brał, gdyby drugi nie dawał, ale...

No właśnie! ALE???



# Kaleki los

## Arkady i Borys Strugaccy

**W** OSRODKACH obliczeniowych trafiło mi się już bywać i wcześniej, tak więc chropowate szafy, płyty migotające ognikami, pozostałe ekrany-cyferblaty nie zwróciły mojej uwagi w tym dużym, jasno oświetlonym pokoju. O wiele bardziej oryginalnym i interesującym wydał mi się Człowiek siedzący przy stole zawalonym rulonami i teczkami.

Był on w moim wieku, szczupły, z ciemnoblonde, lekko rozsypanych włosami, o rysach twarzy zarazem zwykłych, a równocześnie nacechowanych czymś nieuchwytnym. Coś budziło zaniepokojenie w tej twarzy i zmuszało do wewnętrznego skupienia, i wypowiedzi krótkich, literackich, i bez żadnego cwaniactwa. Granatowy laboratoryjny fartuch okrywał jego szary garnitur, koszula była śnieżnobiała, a krawat nie rzucał się w oczy, był staromodny i staromodnie zawiązany.

— Zamknijcie, proszę, szczerne drzwi — powiedział miękko, przyjemnym głosem.

Odwrociłem się i dostrzegłem, że zostawiłem drzwi półotwarte, przeprosiłem i domknąłem skrzydło. Potem przedstawiłem się. Coś zmieniło się w jego twarzy i zrozumiałem, że moje nazwisko jest mu znane. Sam nie przedstawił się, tylko powiedział:

— Jestem bardzo rad. Jeśli można, dajcie, zobaczymy, co nam przynieśliście. Podejdźcie, tu, usiądźcie proszę.

W tych jego prostych, zdawałoby się najprostszych, najwykleszonych słowach wyczuwało się jakąś przewagę na tyle znaczną, że uczułem nagłą potrzebę wytłumaczenia się, usprawiedliwienia, wykazania, że niczego nie zlekceważyłem i nie zaniedbałem. To moja sytuacja tak się w ostatnich czasach ułożyła, a w ogóle to ja tu byłem wczoraj, cofnąłem się, będąc już dwadzieścia kroków przed jego drzwiami — znowu z przyczyn ode mnie zaden, ale to żaden sposób niezależnych!

Zresztą ten przypływ pełnego winy szacunku, ostro i fizycznie odczuwalny, minął na szczęście szybko i — rozumie się — niczego takiego nie powiedziałem, a po prostu podszedłem do jego stołu, położyłem przed nim moją teczkę, a sam usiadłem w dość wygodnym fotelu.

Niespodziewanie odrzuciło mnie w przeciwną stronę — zachciało mi się nagle rozwalić się, założyć nogę na nogę i rozglądając się wokół, rzucić komunał w rodzaju: A niczego sobie żyją uczeni, niegorzej żeście się tu urządzili!

Ale oczywiście niczego takiego nie powiedziałem i nogi na nogę nie założyłem, tylko siedziałem spokojnie, przyzwolnie i patrzyłem, jak On przysuwa do siebie moją teczkę, ostrożnie i akuratelnie rozwiązuje tasienki, uśmiecha się jakby swymi dużymi, wąskimi wargami i przypatruje się mi spod rozsypanych się włosów nie to z ciekawością, ni to ze złośliwością, ale w gruncie rzeczy życzliwie. Wreszcie otworzył teczkę i zobaczył nuty. Jego brwi podniosły się lekko. Mrucząc niezręczne przeprosiny, podbiegłem do tej przekiętej partytury, ale On, nie odrywając wzroku od linijek nutowych, powstrzymał mnie lekkim ruchem dłoni. Nie było wątpliwości, umiał czytać pismo nutowe i to, co przeczytał, musiał go niewątpliwie zainteresować, gdyż kładąc na koniec pozwolił mi wyjąć z teki manuskrypt „Upadłego Anioła”, popatrzył na mnie niewesołymi, szarymi oczami i powiedział:

— Interesujące, trzeba wam wiedzieć, papiery znajdują się w starych teczkach pisarzy...

Stropiłem się i nie wiedziałem, co odrzec, a On nie czekał na to i już biegle, a zarazem pedantycznie, kartkował kopie moich recenzji z dawno już butwiejących w redakcyjnych archiwach ma-

teriałów pisanych byle jak, na żywiół, kopie adnotacji na materiały, patenty japońskie, rękopisy moich przekładów z japońskich pism technicznych i inne rupiecie, które pozostały z tamtych trudnych lat, kiedy to przestał mi drukować, a wzięli się do lżenia mej osoby...

On kartkował nadal, mając widocznie nadzieję znaleźć w tej stercie rupieci cośkolwiek przydatnego. Zrobiło mi się strasznie przykro, poczułem się ostatnią świnią, że oto miłanowicie siedzi przede mną człowiek srogi i niewesoły nie jakiś chałturnik i koniunkturzysta, Feliks Aleksandrowicz Sorokina, widać, czytał i teraz oczekiwał od niego poważnego materiału, na którym można by się oprzeć w pracy, spodziewał się po Sorokinie jakiejś elementarnej chociaż przyzwolności, a Sorokin mu worek tajna przyniósł i na stół rzucił, ot co!

Takie więc odczucia nękały mnie, kiedy On w końcu zamknął haniebną teczkę, położył na niej blade ręce o długich chudych palcach i znowu spojrzął na mnie.

— Widzę, Feliksie Aleksandrowiczu, że was zupełnie nie interesuje obiektywna ocena waszej twórczości.

Nie wiem, czy w jego słowach lub tonie istotnie był zawarty wyrzut, ale ja z plebejskiego poczucia sprzeciwu nastroszyłem się w tym momencie.

— Dlaczego tak uważacie?

— A jakby inaczej? — Postukał palcem po teczkę. — Z całego tego materiału, który mi przynieśliście, wynika jedynie, że, po pierwsze, macie brzydki charakter pisma, a po drugie, że w Japonii wiele pracowano nad materiałami paliwowymi!

Niedorzeczny demon kłótni, który poruszył się we mnie, chciał wypchnąć na zewnątrz złośliwo-łchórzliwe usprawiedliwienia w rodzaju: „Nie mnie nie obchodzi, powiedziano mi, dajcie nam dowolny swój rękopis, a teraz sami nie wiedzą, czego chcą, i w dodatku są niezadowoleni”. Ale nie zacząłem nawet mówić niczego w tym rodzaju i opuściwszy głowę, rzekłem:

— Cóż zrobić, tak już wyszło...

I dodałem, niespodziewanie dla siebie:

— Nie denerwujcie się, proszę...

— No, go wy — powiedział i nagle uśmiechnął się dziwnym smutno-czulym uśmiechem. — Jak mogę się na was gniewać Feliksie Aleksandrowiczu, przecież to wam powinno bardziej zależeć niż nam! I wtedy dopiero dotarło do mnie, jaką wstrząsającą rzecz usłyszałem od niego minuty temu.

— Pozwólcie — rzekłem, nie wiadomo dlaczego znizywszy głos. — Wy żartujecie z pewnością? W jakim sensie wspomnieliście o obiektywnej wartości?

— W zwykłym, najwykleszszym — odpowiedział przestając się uśmiechać.

— Czy to możliwe, czy mam rozumieć, że wy tutaj, w laboratorium, stworzyliście Menzurę Zoili?

— Czemużby nie? I Menzurę, i wiele innych rzeczy...

— Ależ, za pozwoleniem, jak dzieło może mieć obiektywną wartość?

— Dlaczegożby nie? — powtórzył.

— Chociażby dlatego... To jest, wybaczenie, banal! Mnie, na przykład, podoba się, a was mdli każde słowo. Dzisiaj coś jest znane w całym świecie, a jutro wszyscy o tym zapomną...

— Wszystko to, Feliksie Aleksandrowiczu, prawda, ale jaki to może mieć związek z wartością obiektywną?

— A taki — powiedziałem, gorączkując się — że dzieło cenne obiektywnie powinno być cenne i dla nas, i dla mnie, i wczoraj, i jutro, a przecież tak nie bywa i być nie może.

On jednakże nie protestował przeciwko temu, że mieszam wartość obiektywną z wartością wieczną.

Rzeczywiście, wiecznych wartości nie ma, niczego nie ma w literaturze i sztuce takiego, co byłoby cenniejsze zawsze i przez wszystkie. Ale czy nie zauważyłem, że dzieła, które już przebrzmiały i przeżyły, zdawałoby się, swoje życie, nagle zmartwychwstały — całe wieki później — i znowu żyją, i krzyczą, i jeszcze nawet głośniejsze i energiczniej niż dawniej? Być może jest sens uważać za miarę obiektywnej wartości taki oto sposób powracania do życia. Przy tym to tylko jedno z możliwych podejść do problemu obiektywnej wartości... Istnieją i inne, bardziej funkcjonalne, wygodniejsze dla algorytmizacji...

Słuchałem jego słów i czułem, jak moja poręczność znika, wsiąka niczym wodą w piasek. Lubię mierz pokłócić się, szczególnie na tak abstrakcyjne, niepraktyczne tematy. Jednak moje wyobrażenie o abstrakcyjnych sporach wymaga koniecznie całkiem określonej atmosfery: lekkiej euforii, miłej kompanii, dzbanka z kawą, oczywiście i w perspektywie drugiego, o ile wyniknie tego potrzeba. Tu zaś, wśród chropowatych szaf, w martwym świetle rurek rękodzielniczych, wśród rulonów i grafików, i bez wesolej kompanii, a w towarzystwie człowieka, przed którym odczuwałem onieśmienie i lęk... Nie, obywatelu, w takich warunkach ja dla was żaden partner do dyskusji!

Jakby odgadując moje myśli, On powiedział:

— Zresztą, dyskutować o tym, Feliksie Aleksandrowiczu, nie ma żadnego sensu. Aparat do Miernika Obiektywnej Wartości Dzieł Literackich — czyli Menzura Zoili — gotowy! I to już dosyć dawno! I wtedy to, Feliksie Aleksandrowiczu, wynikł o wiele poważniejszy problem: czy w ogóle komuś jest potrzebna obiektywna wartość dzieła? To wyjątkowo pouczająca historia pierwszego działającego modelu maszyny, a także jego twórcy... Przepraszam, czy ja was nie męczę?

Owładnęło mną niesamowite przeczucie i pospiesznie zaprotekowałem, całym swoim wyglądem starając się go przekonać, że nie jestem wcale zmęczony i z niecierpliwością czekam na dalszy ciąg.

I nie oszukało mnie przeczucie. On opowiedział mi, jak trzydzieści lat temu młody wynalazca — entuzjasta przywiózł na motocyklu do Domu Twórczości Pisarzy w Kuskuzkynie swój pierwszy model „Miernika Pisarskiego Talentu” („Miepił”) i o tym, jak to Zachar Kupidonycz, bez zgody autora, podrzucił do maszyny rękopis Sidora Amenpodestowicza i potem z zachwytem odczytał w stółce opinie maszyny, która zresztą nikogo nie zdziwiła. Słuchałem dalej, jaka skandaliczna draka rozegrała się przy obojętnym aparacie pomiędzy Flawijem Wespazjanowiczem a nietakownym redaktorem wydawnictwa „Moskiewski literat”, i o tym znowu, jak beznadziejnie zepsuto jubileusz Gaussjany Nikifirovny, kiedy to zmarnowało się sto siedem porci leśniotry z różną i filety do suworowsku, dostarczone z Klubu osobowym zisem, i jak Łukjan Liubomudrowicz usiłował przekupić wynalazcę, aby ten przykreślił coś w swoim przekłętym aparacie — proponując najpierw skrzynkę wódki, potem pieniądze i w końcu powierzchnię mieszkalną w jednym z wysokoociowców: słowem, jak to osiem dni w Domu Twórczości w Kuskuzkynie było malutkie piekło, a w nocy na dziewiąty dzień rozbili aparat ze szczerem. Dopiero następnego dnia Miefodij Kirilycz zakończył tę historię, zgodnie z przestarzałymi niestety prawidłami rozwiązywania takich konfliktów.

Chciewie wysłuchawszy tej historii, spytałem, za ledwie On zamilkł: — Więc i wy znaliście Anatolija Jefimowicza?

— Rozumie się! — odpowiedział z pewnym nawet zdziwieniem. — A dlaczego teraz wspomnieliście o nim?

— Jakże! Przecież wszystko to, o czym teraz opowiedzieliście mi, to zamysł komedii, którą chciał napisać zmarły Anatolij Jefimowicz...

# Sztuka i rewolucja

Dokończenie ze str. 3

żowy plakat” do obrazu Eisensteina „Pancernik Potiomkin” oraz wnętrze klubu robotniczego, które pokazane na Międzynarodowej Wystawie Sztuki Dekoracyjnej i Przemysłowej w Paryżu (1925), wzbudziło tam wielkie zainteresowanie, jak zresztą cały pawilon radziecki (proj. Konstantego Mielnikowa), uznany przez Le Corbusiera za jedyny wart obejrzenia. Przypomnijmy też hasła, które Rodezenko zestawiał w celach dydaktycznych, jako wykładawca przedmiotu „Konstrukcja” w Webutemasie, jednej z wczesnych szkół plastycznych, które utworzono po rewolucji:

Konstrukcja — to uporządkowanie elementów.

Konstrukcja — to światopogląd naszych czasów.

Sztuka — jak wszystkie nauki — jest jedną z gałęzi matematyki.

Konstrukcja to współczesne wymagania organizacji i użytkowego wykorzystania materiału.

Konstruktywne życie jest sztuką przyświećłości.

Sztuki nieprzydatne dla życia należy zamknąć w muzeach starożytności. [...]

Należy pracować dla życia, a nie dla pałaców, kościołów, ementarzy i muzeów.

Musimy działać wśród ludzi, dla ludzi i razem z ludźmi; przez z klasztorami, instytucjami, pracowniami artystycznymi, gabinetami i wyspami!

Wiedza, eksperyment... cel konstrukcji, technika i matematyka — oto bracia i siostry sztuki naszych czasów.

Awangarda nie wyczerpywała się oczywiście w głoszeniu programów i

buńczucznych, profetycznych i futurologicznych deklaracji. Te idee próbowano wcielić w rzeczywistość, choć wobec biedy i ogólnego zacofania cywilizacyjnego kraju rzadko znajdowano możliwość realizacji okazalszych projektów. Tylko w modelu zmaterializował się „Pomnik III Międzynarodówki” Tatlina, czyli ogromna kratonowicowa konstrukcja w formie zbliżonej do stożka, otulająca gigantyczne cylindry o funkcjach użytkowych. W fazie projektu pozostał też Pałac Pracy (1923) braci Wiesninów, rewelacyjny pod względem technologicznym i zdumiewający rozległością i skalą programu, który obejmował m. in. audytorium na 10 500 widzów, restaurację dla 6000 osób, dwa muzea, bibliotekę, obserwatorium meteorologiczne i laboratorium astrofizyczne... Niemniej jednak to i owo doczekało się realizacji, o czym świadczy np. niektóre budowle Moskwy i Leningradu, oszczędnością i logiką formy wyróżniające się wśród klasycystycznej czy eklektycznej architektury tych miast. Obiekty te (oraz Mauzoleum Lenina na placu Czerwonym) stały się swoistym depozytem idei kon-

struktywizmu, które ożyły w Związku Radzieckim już w końcu lat pięćdziesiątych, oczywiście tylko w architekturze i wzornictwie.

Kubofuturystyczna a następnie konstruktywistyczna awangarda najszerzej pole działania znajdowała w tych obszarach, które nie wymagały wielkich nakładów finansowych i skomplikowanych technologii. Takim miejscem była np. agitacja, informacja i reklama. Tutaj świetnie rozwijała się sztuka plakatu sygnowana nazwiskami Moora (którego „Pomóż!” z głodowego roku 1921 obiegł cały świat), następnie Deniego, Radakowa, braci Sternbergów (plakat filmowy), Lawinskigo, Rodezenki, El Lissitzkiego oraz autorów słynnych „Okien Siergi ROSTA”: Michała Czeremnycha, Iwana Maluti-na, Majakowskiego (wspieranego czasami pędzlem Lili Brik) oraz kilku innych artystów. Warto przypomnieć, że to właśnie Majakowski był autorem niemal wszystkich tekstów „Okien”, które w formie placht papieru z aktualną historią obrazkowa zaopatrzoną w wierszowany podpis, rozsyłano do różnych miast Kraju Rad, gdzie zwykle, podobnie jak w Moskwie, wy-



— A tak, — rzekł, jakby sobie przypominając. — Tylko że on, nie wiem, czy wiecie, nie tylko chciał napisać. On napisał tę komedię i przedstawił tam siebie — pod innym nazwiskiem, oczywiście. A w marcu 1952 roku wszystko to zdarzyło się w Kuskuzkine...

— Co to znaczy „napisał”? — zaprotestowałem. — Mnie Anatolij Jefimowicz wszystko to opowiedział dosłownie miesiąc przed śmiercią. Właśnie w formie zamysłu komedii.

On uśmiechnął się niewesoło.

— Nie, Feliksie Aleksandrowiczu. Kiedy on to wam opowiadał, sztuka miała już dwadzieścia pięć lat i leżała w trzech egzemplarzach, opracowana, poprawiona, całkowicie gotowa do wystawienia, w szufladzie tego stołu. Pamiętacie ten stół! Ogronny, stary, z wielką ilością szuflad. Tak więc z lewej, na samym dole leżała komedia o niezgrabnym tytule „Miepital”.

[...] Strasznie chciałem spytać czy nie jest on tym samym młodym wynalazcą, który urządził tydzień nieszczęść w Kuskuzkine, a potem pojawił się w sztuce Anatolija Jefimowicza. Już kaszlnąłem i otworzyłem usta, ale On natychmiast podniósł na mnie swoje przezroczyte szare oczy i wówczas zrozumiałem, że za nic nie zdecyduje się go zagaadać.

Pamiętam na chybił trafił:

— Co więc u was powstaje? A więc te wszystkie szafy to „Miepital” i nasi mają rację, gdy mówią, że wy tutaj mierzycie stopień naszych talentów?

Tym razem On nawet się nie uśmiechnął.

— Nie, oczywiście — rzekł. — To jest, w pewnym sensie, tak. Ale w ogólności to zajmujemy się zupełnie innymi problemami, bardzo specjalnymi, raczej lingwistycznymi... lub... dokładniej, sociolingwistycznymi.

Pytałem, czy mam rozumieć, że te ciepawie szafy rzeczywiście mogą zmierzyć stopień talentu, tylko teraz są nastawione na inne zadanie. Odpowiedział, że w pewnym sensie tak jest rzeczywiście. Wówczas zapytałem, bez złośliwości, w jakich wielkościach ustala talent, według skali pięciostopniowej, jak w szkole, czy też według dwunastostopniowej, którą mierzy się trzęsienia ziemi. On odparł, że byłoby rzeczą naiwną przypuszczać, jakoby tak złożone socjopsychologiczne zjawisko jak talent można było oceniać w takich prymitywnych wielkościach. Talent to zjawisko specyficzne i dla jego mierzenia potrzebne są naturalnie specyficzne wielkości.

— Zresztą — powiedział — lepiej będzie wam pokazać, jak pracuje sam aparat. Dane, które on dostarcza, mają nader podrzędny stosunek do talentu, ale wszystko to jedno... No, powiedzcie, a wasza recenzja z jakiejś powieści pod tytułem „Narodziny gołąbka”? Co to za powieść — można sądzić po samym tytule. Ale aparat będzie miał do czynienia nie z powieścią, a tylko z waszą recenzją, Feliksie Aleksandrowiczu.

Nie bez trudu zdjął z kartek przyklejony na amen spinacz, wziął wierzchnią kartkę i włożył ją do malej szufladki o rozmiarach strony maszyny napisu. Potem wsunął szufladkę w szczelinę i nacisnął wskazującym palcem czerwony klawisz na pulpicy z lampką w środku. Lampka zgasała, natomiast zamigotały liczne oświetlenia na pionowej płycie, ożywiły się też dwa duże ekrany po obu stronach płyty. Zakręciły się krzywe, zaczęły skakać cyfry, trzasnęły cichutko, zajęczały wszystkie tam klisstry, kenotrony i pozostałe elektroniczne bebecchy. Epoka NTR!

Trwało to z pół minuty. Potem jęczenie urwało się, a na płycie i ekranach zapanowały spokój i porządek. Teraz świeciły dwie gładkie krzywe i ogromna ilość różnych cyfr.

— No, i wszystko — rzekł, wyjął szufladkę i włożył kartkę z powrotem do teczki.

Nie zdążyłem nawet otworzyć ust, a on już objaśniał mi, że te cyfry — to entropia mojego tekstu, a tamte charakteryzują coś takiego, co długo trzeba by objaśniać. Ta krzywa — to wyrównujący współczynnik czegoś takiego, czego nie rozumiałem, a ta — to układ czegoś innego, co zresztą pojąłem od razu i nawet zapamiętałem, ale potem natychmiast zapomniałem.

— Proszę zwrócić uwagę na tę cyfrę — powiedział, postukując palcem po jedynej czwórce, po

sierocemu ułożonej w dolnym, prawym rogu cyfrowego ekranu. — U waszych kolegów powstało nie wiadomo dlaczego przekonanie, jakoby to właśnie była ta osławiona obiektywna ocena lub wskaźnik geniuszu, jak nazywa ją ten dziwny, określony bandażami człowiek.

— Oj! Sojuznoje — wymamrotałem odruchowo.

— Możliwe. Zresztą dzisiaj przedstawił się jako Kozłuchin, a w ogóle pojawiał się tu wielokrotnie, za każdym razem z innym rękopisem i pod innym nazwiskiem. Tak więc on z uporem nazywa tę cyfrę oceną geniuszu i uważa, że im ona większa, tym autor genialniejszy. Innym znowu razem, próbując przekonać Pietię Skorobogatowa, wyrwałem na chybił trafił z jakiejś przypadkowej gazety felleton o żulikach grasujących w sieci handlowej i włożyłem go do maszyny, a ta pokazała cyfrę siedem. I chociaż gołym okiem było widoczne, że felleton jest beznadziejnie daleki od genialności, Pietia Skorobogatow nie dał się przekonać, mrugnął do mnie porozumiewawczo i ostrożnie schował wycinek z gazety do wypchanego notesu.

— Co ona znaczyła, ta wasza cyfra siedem? — zapytałem z ciekawością.

— Wybaczcie, Feliksie Aleksandrowiczu, ale cyfry bywają tylko jednoznaczne. Cyfra siedem to cyfra siedem. Tak więc liczba wykazania przez maszynę — On znów postukał palcem po mojej czwórce — jest to, popularnie mówiąc, najwiarygodniejsza liczba czytelników danego tekstu czyli NICZT.

— Czytelników tekstu... — zauważyłem z mściwą satysfakcją.

— Tak tak, srogi stylista nazwie niewątpliwie ten zwrot ohydny, jednakże w tym wypadku „czytelnik tekstu” — to termin, oznaczający człowieka, który chociażby raz przeczytał lub przeczyta w przyszłości dany tekst. Tak więc ta czwórka — to nie jakaś mityczna ocena waszej, Feliksie Aleksandrowiczu, genialności, a tylko najwiarygodniejsza liczba czytelników waszej recenzji, wskaźnik NICZT.

— A jaki stosunek ma ten wasz NICZT do talentu, możliwości, w ogóle do jakości danego — jak wy to określicie — tekstu?

— Ja was uprzedzałem, Feliksie Aleksandrowiczu, że ta miara ma tylko pośredni stosunek...

— Jaką pośredni? — przerwałem mu, rozkręcając się. — Liczba czytelników zależy przede wszystkim od nakładu!

— A nakłady?

— No wiecie, już wy mi nie opowiadajcie! Już my to wiemy, od czego, a głównie — od kogo zależą nakłady! Ja wam mogę przedstawić tyle przebrzydłej chałtury, ile chcecie, takiej, która wyszła w półmilionowych nakładach...

— Rozumie się, rozumie się, Feliksie Aleksandrowiczu! Wy teraz zupełnie, jak ten wasz zabandażowany Kozłuchin, z uporem i prostodusznością uzależniacie wysokość wskaźnika NICZT od jakości danego tekstu.

— To nie ja uzależniam, to wy sami to sugerujecie! Moim zdaniem, nie ma żadnej zależności ani prostej, ani pośredniej!

— Jak to nie ma, Feliksie Aleksandrowiczu? Oto tekst! — On dwoma palcami ujął za brzeżek mojej nieszczęsnej recenzji. — Wskaźnik NICZT, jak widzicie, wynosi cztery. Czy sprzeciwicie się tej ocenie?

— Ależ za pozwoleniem! Rzeczywiście, jeśli widać recenzję, a jeszcze w dodatku wewnętrzną — no, redaktor ją przeczyta, może autor, jeśli mu ją pokaza...

— To znaczy, że sprzeciwów nie ma...

Nagle zrećnie, jak magik, wyjął z mojej teczki stary szkolny zeszyt w wypłowiałej, żółto-żółtej okładce i tak szybko przysunął go do mojej twarzy, że musiałem gwałtownie się odsunąć.

— Co my tu mamy? — spytał.

Widzieliśmy przed sobą przytłaczająco znajomy obrazek z dziecińczych lat: brodaty książę żegna się z silnym długogrzywym koniem. A pod obrazkiem wiersz: „Oto szykuje się w drogę Wieszczy Oleg”.

— O co chodzi? — spytałem wyzywająco. — Poza wszystkim znakomite, doskonale wiersze... Zadane lekcje literatury nie zdołały ich zabić...



Rys. Zygmunt Pytlík

— Niewątpliwie, niewątpliwie — powiedział szorstko. — Ale nie o to was pytam. Jeśli by tę kartkę wprowadzić teraz do maszyny, to?...

Doznałem intelektualnego wstrząsu.

— No... — wybałem — wiele powinno wynikać, na pewno samych uczniów, ile... dziesięć, dwadzieścia milionów?

— Ponad miliard — surowo odrzekł. — Ponad miliard, Feliksie Aleksandrowiczu!

— Może i ponad miliard — powiedziałem pokornie. — Ja przecież mówię — dużo...

— A zatem — rzekł — trywialna recenzja, NICZT równy czterem. „Znakomite, doskonale wiersze” — NICZT przewyższa miliard. A wy mówicie, że żadnej relacji nie ma.

— „Pieśń o Wieszczy Olegie” jest przecież wydrukowana i to ile razy! Nawet ją śpiewają!

— Śpiewają — On przytaknął — i będą śpiewać, i będą drukować znowu, i znowu.

— Właśnie. A moja recenzja...

— A waszej recenzji nie będą śpiewać, i nie będą jej też drukować. Nigdy. Dlatego ma ona współczynnik NICZT równy zaledwie czterem. Za przeszłe czasy i na całą przyszłość. Tak ona i zbutwieje przez nikogo nie przeczytana.

W tym momencie zrodziło się we mnie zadziwiające uczucie. On jakby uderzył w jakieś nieznanne mi dotąd drzwi mojej świadomości. „Otwórz! Wpuść!” Ale wszystkie wygłoszone przez nas słowa i wypowiedziane myśli same z siebie były banalne, aż do bezbarwności i żadnej reakcji we mnie nie wywołały. Zupełnie jak gdyby ktoś puchową poduszką bił w stalowe drzwi na głucho zamkniętego sejfu.

— A więc prawidłowo... — powiedziałem niepewnie — i Bóg z nią. Też mi literacka wartość!

— On zamilkł pocierając czoło nad brwiami.

— Ja zażartowałem, Feliksie Aleksandrowiczu, powiedział nagle jakby przepaszając. — Oczywiście, to wy macie całkowitą rację. Znowu zamilkł. Milczałem i ja, próbując zrozumieć, w czym konkretnie ja miałem rację, na dodatek — absolutną.

I jeszcze, na czym polegała istota jego żartu...

Tłumaczyła: Aleksandra Kowal

Fragment głosej w Związku Radzieckim powieści pt. „Chromaja sud'ba”, publikowany w „Newie” (9/1986, s. 82—87).

wieszano je w witrynach sklepów czy urzędów. Oto dwa może najbardziej głośne wierszyki „okienne” poety, która taką produkcję uznawał za sztukę najwyższego lotu:

Robotnik!  
Porzuc bezpartyjne bzdury!  
Na co mi Sowietom służyć?  
Oj dana!  
Czy nie lepiej życia użyć?  
Oj dana!

Awangarda nie cieszyła się naturalnie powszechnym uznaniem. Krytycznie odnosili się do jej poczynań i konkretnych realizacji niektórzy czołowi politycy i ideolodzy, nie znośli owej formacji potężna organizacja „Proletkult”, powstająca pod patronatem Gorkiego po rewolucji lutowej i kierowana przez Bogdanowa (właściwe nazwisko: Malinowski). Łącząc się z awangardą w niechęć do kultury burżuazyjnej, proletkultowcy mieli jednak zupełnie odmienną wizję nowej kultury, która ich zdaniem powinna i może zbudować tylko proletariąt, korzystający z wybranych modeli sztuki realistycznej i opiewający świat klasy robotniczej. Z kolei i ta organizacja, wybitnie zasłużona w upowszechnianiu kultury wśród szerokich mas budziła zastrzeżenia polityków. Twierdził się dziś że obok względów politycznych (doktrynerstwo „Proletkultu”) zadecy-

dowała o tym rosnąca siła organizacji, która licząc dziesiątki tysięcy, a ponoć nawet pół miliona członków, zy-

skiwała nadmierną autonomię wobec ośrodków dyspozycji politycznej.

Mediatorem w tych sporach i gorą-

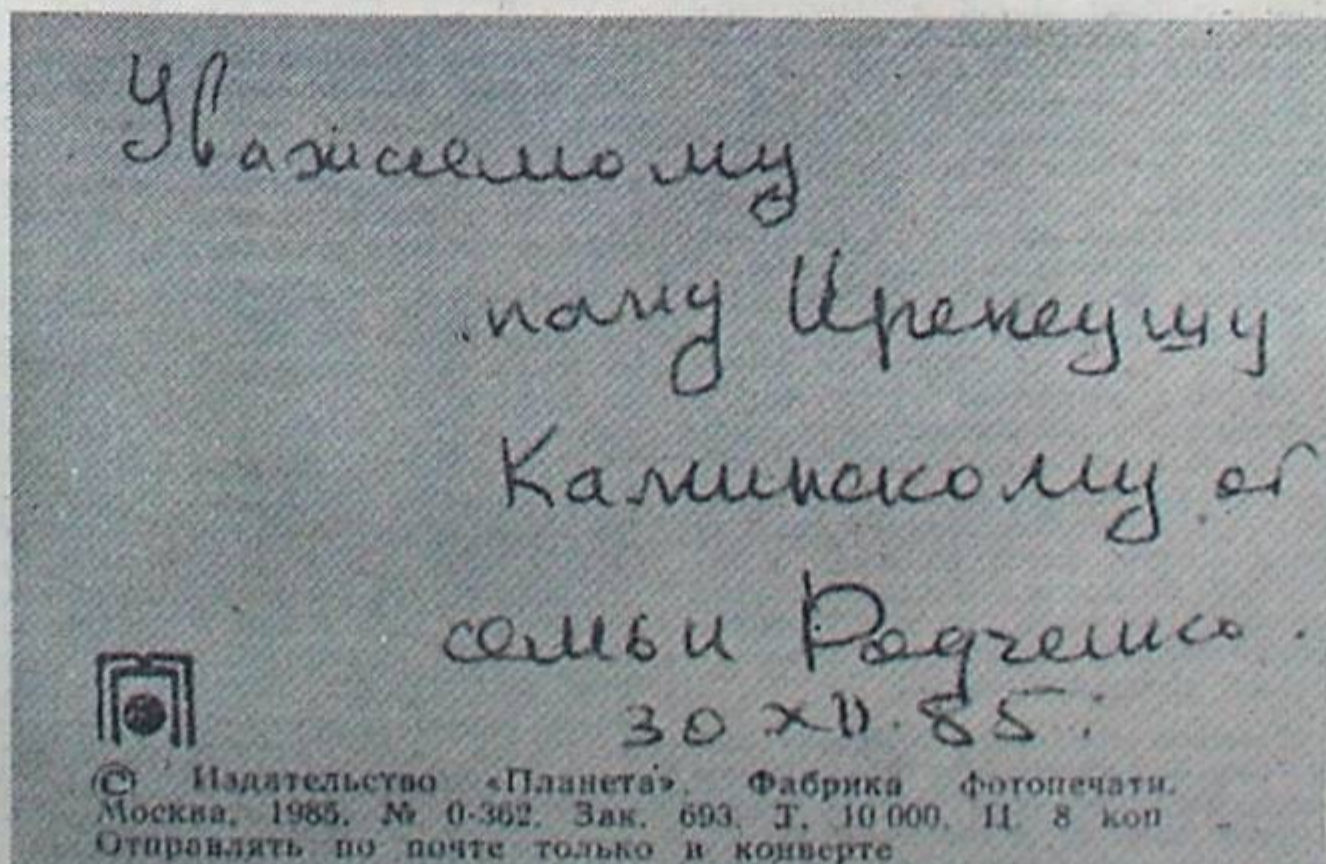
cych kontrowersjach był szef Ludowego Komisariatu Oświaty, wybitny humanista, człowiek w ogóle światły i obdarzony wielkim taktem. Anatol Lunaczarski. Znajdował on powody i do akceptacji, i do krytyki zarówno awangardy, jak i „Proletkultu”, kierując się nadrzędną racją, że nowy ustrój powinien dziedziczyć z tradycji kultury ogólnoludzkiej wszystko, co wartościowe, starając się jednocześnie wykreować własny, oryginalny dorobek. Jedno nie ulega dyskusji: że najbardziej dynamiczne formacje artystyczne uznały rewolucję za własne, historyczne zadanie, a zaznaczone w latach dwudziestych wielokierunkowe duktory rozwoju kultury wydały dorodne owoce.

Ale potem nastąpił ów pamiętny rok 1932.

Obecnie w Związku Radzieckim pieczołowicie zbiera się, chroni, komentuje i udostępnia publiczności to wszystko, co zachowało się z heroicznego czasu rewolucji. Proces ten, co chyba interesulace rozpoznał się już kilkanaście lat temu.

Ireneusz J. Kamiński

ps. Ze względu na brak miejsca nie zamieszczono bibliografii wykorzystanej w artykule.



© Издательство «Планета». Фабрика фотопечати. Москва, 1985. № 0-362. Зак. 693. Т. 10 000. Ц. 8 коп. Отправлять по почте только в конверте

Дедикация на обороте фотографии выполненной przez A. Rodezenkę: „Szano-wnemu panu Ireneuszowi Kamińskiemu od rodziny Rodezenków”

Repr. Przemysław Ostrzyżek

kamena 7



# Piękne niewiasty i wytworni panowie...



Maria Tarnowska, żona Stanisława



Stanisław Tarnowski, prof. i rektor UJ



Władysław Zamojski

**O**D SIERNIA do końca października br. czynna była w Muzeum w Kozłowiec monograficzna wystawa fotograficzna, poświęcona Waleremu Rzewuskiemu, zorganizowana z okazji 150 rocznicy jego urodzin (1837-1888). Zaprezentowano na niej około 1050 eksponatów w tym 850 fotografii, wykonanych w latach 1861-1888. O ile się nie myli, jest to druga wystawa monograficzna w 40-lecie, przygotowana z takim pieczywem i rozmachem, a poświęcona dziewiętnastowiecznemu fotografowi. Pierwszą była wystawa o Karolu Beyerze, przygotowana przez Muzeum Sztuki w Łodzi, w roku 1984.

Wśród kilkunastu znaczących polskich fotografów dziewiętnastowiecznych Karol Beyer i Walery Rzewuski niewątpliwie należą do gwiazd pierwszej wielkości.

Zanim przejdę do omawiania wystawy, warto przybliżyć sylwetkę krakowskiego artysty. Urodził się 14 kwietnia 1837 roku w Krakowie, w rodzinie mieszczańskiej. Studiował w Instytucie Technicznym w Krakowie, później na wydziale budowlanym Politechniki Wiedeńskiej. Ze względu na chorobę przerwał studia i powrócił do Krakowa. Zamiłowanie do fotografii, które rozwijał jeszcze podczas edukacji w Instytucie, doskonalił w Wiedniu. Z biegiem czasu przerodziło się w prawdziwą pasję. Pierwszy zakład fotograficzny otworzył na przedmieściach Krakowa, przy ul. Krupniczej. W kwietniu 1862 roku przeniósł się na ulicę Kopernika 29, by po kilku latach otworzyć nowy, specjalnie urządzonego zakład we własnym domu (wrzesień 1867 rok) przy ul. Podwale 27b.

1 października 1867 roku krakowski „Czas” zamieszcza opis tego lokalu. Wejźmy za sprawozdawcą do środka:

— Najpierw salonik-poczekalnia do przyjmowania klientów, skąd wchodziło się do przestronnego atelier. Posiadało ono dach wsparty na żelaznych słupach i jedną ścianę szklaną, którą można było dowolnie przysłaniać, w zależności od warunków oświe-

lenia. Na jednej ze ścian — duża dekoracja wnętrza salonu jako tło do portretów i zajęć grupowych, przy innej ścianie naturalna grotta z kamieni, obrosniętych mchem i paprocią, przed nią sadzawka i wodotrysk. Procz tego wiele różnych przesuwanych dekoracji, malowanych drzew i skał do zdjęć na tle przyrody, gdy warunki atmosferyczne nie pozwalały wyjść do sąsiadującego z atelier ogrodu, gdzie znajdowała się również kamienna grotta z olbrzymimi sfinksami, sadzawką i wodotryskiem. Obok atelier mieścił się pokój-biuuar, gdzie można było przygotować się do zdjęć. W ciemnicy, zółtem oknem oświetlonej i żółto malowanej, gdzie przyrządzają się szkła pod obraz tzw. negatywowy, znajdują się rozmaite przyrządy i naczynia, tudzież pompa i tzw. paciierz, po którym szkło spuszcza się do izby, gdzie przenoszą fotografię na papier. Gotowa fotografia wychodzi na wlezech innym paciierzem w czerwonym pokoju urządzonym, w którym gości przyjmują. W pracowni bowiem dolnej wykonują się wszystkie inne roboty, tak fotograficzne, jak introligatorskie. Procz tego cały zakład opatrzony jest rurami głosowymi dla porozumienia się w odległych lokalach.

Fotografie Walerego Rzewuskiego na wystawie w Kozłowiec eksponowane są w dwunastu działach: życie osobiste (dom i rodzina), zabytki Krakowa (wiodki, ulice, place, kościoły, gmachy użyteczności publicznej), fotografia la-trzańska, powstania (1863 r.), literatura i pisarze, artyści (malarze i rzeźbiarze), działacze polityczni i społeczni, fotografia teatralna (żywe obrazy), reprodukcje malarstwa, fotografie zbiorowe, portrety, a także rysunki wykonane przez artystę, dyplomy i launki okolicznościowe.

Wystawa potwierdza opinię współczesnych o nieprzeciętnym talencie, solidnych kwalifikacjach zawodowych i pasjach społecznikowskich Rzewuskiego. Tzw. fotografia usługowa sama w sobie stanowi temat do analiz z serii: „W Krakowie Polaków Portret Własny”. Ob omnia liczba fotografii dokumentalnej: architektura Krakowa, pejzaż, groby królewskie...

Osobiście preferuję fotografię portretową Rzewuskiego. Od formatów największych (portret rektora Dietla) poprzez setki zdjęć ówczesnej galicyjsko-krakowskiej elity intelektualnej (ludzi nauki, kultury sztuki), towarzyskiej (piękne kobiety!) zdjęcia grupowe, fotografię powstańczą. Rzewuski kilkakrotnie przekraczał granicę, fotografu-

jąc zarówno samego dyktatora Langiewicza, jak i powstańców. Wiele tableau, przedstawiających powstańców, którzy zginęli. Fotografie dowódców i bohaterów funkcjonowały nie tylko jako pamiątka, ale także jako ulotka, przekazywana z rąk do rąk, kolportowana w dużych nakładach.

Rzewuski szczególnie lubił teatr. W latach 1867-68 wydał pięć albumów aktorskich. Na wystawie cała seria fotografii Heleny Modrzejewskiej i innych wybitnych postaci krakowskiej sceny.

Nie będę opisywał wszystkich fotografii, chciałbym jeszcze wspomnieć o jakości: portretach po jubilersku czelowanych. Nośność informacyjna, wierność szczegółów, sposób ustawienia modelu (ograniczony zresztą światłem naturalnym!) może stanowić (i stanowi!) niedoścignioną szkołę dla wielu współczesnych portrecistów. Maestria widoczna jest nie tylko w portretach pojedynczych osób: mężczyzn, kobiet, dzieci, matron, ale w fotografiach zbiorowych, trudnych w realizacji. I wreszcie „żywe obrazy” — modne w całej Europie, tak wyśmiewane przez Baudelaire'a — fotograficzne inscenizacje głośnych sztuk czy powieści. W żywych obrazach Rzewuskiego możemy rozpoznać znanych ówczesnych artystów i arystokrację.

Fotografia w owych czasach to pierwsza sztuka masowa, sztuka mieszczańska. Pozwalała szybko dorobić się fortuny. Ale nie zbijanie fortuny było celem Rzewuskiego. W testamentie, sporządzonym na dwa lata przed śmiercią, swoje dwa domy przeznacza na zorganizowanie szkoły fotograficznej, zaś sumę 500 złotych reńskich — jako nagrodę dla autora po polsku napisanej, praktycznej i popularnej książki „dla użytku fotografów nie tylko portretowych”. Projekt powołania w Krakowie szkoły fotograficznej do skutku nie doszedł, natomiast książkę „Podręcznik dla fotografów i amatorów fotografii” ułożył Aleksander Karol w roku 1893, otrzymując też nagrodę.

Walery Rzewuski to nie tylko wybitny artysta, o wyjątkowej świadomości historycznej, ale pełen inicjatywy

społecznik. Jego projektu było zasypanie starego koryta Wisły, on też zaproponował budowę pomnika Adama Mickiewicza.

Zmarł w Krakowie 18 listopada 1888 roku.

Oglądając starannie przygotowaną wystawę, zastanawiałem się, jak wielkie miejsce w procesie edukacji zajmuje sztuka. Także sztuka fotograficzna. W jak niewielkim stopniu wykorzystuje się wystawy muzealne do edukacji nie tylko plastycznej. Sztuka z istoty swojej ma charakter „elitarny” (przynajmniej w tej chwili). Książka wydana w nakładzie nawet 5 tys. egz. krąży wśród czytelników latami, wystawy malarskie lub fotografii (po dwóch, trzech czy nawet czterech miesiącach ekspozycji w jednym miejscu) rozplywają się niby mgły poranne na 30, 40 lat!

Monograficzna wystawa Walerego Rzewuskiego to dużej miary wydarzenie artystyczne, historyczne, kulturalne. Na kilkaset fotografiach zatrzymanych został nie tylko Kraków lat 60. czy 80., pisarze, politycy, ludzie wpisani w naszą historię i kulturę, w nasze podręczniki. Należy się zastanowić, czy trzyletnia żmudna praca Marka Krzysztofa Kaszyckiego, kustosa Muzeum w Kozłowiec i jednocześnie komisarza wystawy, musi w początku listopada wrócić do szuflady, kas pancernych? Czy nie można przedłużyć jej efektów poprzez przeniesienie ekspozycji do Krakowa, Wrocławia, Białegostoku?

Zdzisław Toczyński

Spełniając prośbę Marka Krzysztofa Kaszyckiego, komisarza wystawy, informuję, iż przygotowuje on katalog fotografii W. Rzewuskiego. Wszyscy posiadacze fotografii wybitnego artysty mogą mieć swój udział w ambitnym i pożytecznym przedsięwzięciu. Podaje adres: Muzeum-Pałac w Kozłowiec, 21-122 Kamionka, tel. 28-88, telex 061793.

Reprodukowane zdjęcia pochodzą ze zbiorów Muzeum w Kozłowiec, które posiada 220 fotografii Rzewuskiego.

Z. T.



## Rozliczenia z przeszłością

**N**AJNOWSZY, nakręcony w 1986 r., film gruzińskiego reżysera Tengiza Abuladze „Pokuta” można by określić, najogólniej mianem „wielopłaszczyznowej metafory politycznej”. Jest to bowiem dzieło zajmujące się problemem władzy, a przede wszystkim jej wynaturzeń oraz mechanizmów, jakie do tych wynaturzeń prowadzą — w wymiarze nie tylko jednostkowym, ale także w aspekcie ponadczasowym i ponadnarodowościowym. To wymiar uniwersalny „Pokuty”. Jest jednak równocześnie „Pokuta” ostrym pamfletem politycznym o konkretnych odniesieniach, swoistym studium na temat tyranii i dyktatury, jest także filmem o wynaturzeniu szlachetnych idei przez zwyrodniałe jednostki; i o tym też, że nie wolno ukrywać prawdy o błędach i wypaczeniach zaistniałych w historii. Film Tengiza Abuladze w sposób aluzyjny, ale przecież dostatecznie wyrazisty dla każdego widza, nawiązuje do tego fragmentu historii Związku Radzieckiego, który zwykło się nazywać „okresem kultu jednostki”.

Trzeba jeszcze zwrócić uwagę, że rosyjskie słowo „pokajanie” oznacza nie tylko „pokutę” (jak u nas przetłumaczono, najprościej, tytuł filmu), ale również „przynanie się” (do popełnionych błędów), „wyrażenie skruchy” (za popełnione błędy). Film Tengiza Abuladze nie każe wszak jedynie pokutować duchom historii. On także, z gorącym publicystycznym zacięciem, walczy z tymi spośród nam współczesnych, którzy chcieliby spuścić kurtynę milczenia na to, co złe w historii, w imię „dobrej ogółu”, „spójności idei z praktyką” czy też — gierzadko — z uwagi na własną wygodę i osobiste dobro.

„Pokutę” można by, ze względu na gatunek filmowy, zaliczyć do politycznych filmów „procesowych”. Wszak przed oczyma widzów toczy się na ekranie proces przeciwko niemiłodej kobiecie, Ketewan Barateli, która dowiedziawszy się o śmierci

wieloletniego, zasłużonego burmistrza miasta, Warlama Arawidze, sprofanowała jego zwłoki, trzykrotnie wykopując je potajemnie z mogiły i ustawiając „ku pohańbieniu” w ogrodzie przed rodzinną willą Warlama. Ow czyn, mający podkreślić, że nieboszczyk nie ma prawa do spokojnego spoczynku w ziemi, że nie powinna ona go przyjąć do swojego łona, to fragment „pokuty”, jaka powinna odbyć Warlam Arawidze po śmierci — za czyny, jakich dopuścił się podczas swego długiego i pozornie tylko szlachetnego życia.

Oczywiście, nie sam proces sądowy jest w „Pokucie” najważniejszy, ale zeznania oskarżonej, które dają reżyserowi możliwość retrospektywnego spojrzenia na życie i działalność zmarłego niedawno notabla. W istocie więc „Pokuta” to prawdziwa historia Warlama Arawidze, człowieka żyjącego w dość przeprzysiężonych warunkach politycznych, społecznych i geograficznych. Opowiedziana słowami córki skazanego niegdyś na zsyłkę artysty malarza, którego talent, osobowość i sposób myślenia były nie do zniesienia dla obłudnego notabla-szrapy.

Abuladze w iście mistrzowski sposób rysuje sylwetkę Warlama Arawidze. Człowieka nie pozbawionego inteligencji, wiedzy i nawet pewnych talentów artystycznych, dyplomatycznej zręczności i umiejętności oceny ludzi, ale zarazem osobnika bezwzględnie, chorobliwie ambitnego i podejrzliwego, wietrzącego wszędzie niebezpieczeństwo, zdecydowanego „zamknąć wszystkich mądrych”, żyjących w rządzonej przez niego mieście.

Świetnie ukazany jest proces „kuszenia” przez Warlama malarza Sandro Barateli do przejścia tego oryginalnego, doskonałego artysty na drogę, jaką coraz bardziej wszechpotężny burmistrz wyznaczył plastycy w swoich planach działania „dla dobra szerokiej mas”. Doskonale są momenty reakcji Warlama Arawidze na argumenty ludzi walczących o ratowanie walczącej się zabytkowej cerkwi, argumenty, że nie wolno nikomu „odcinać się od korzeni”. W tym miejscu nie dość pochwał dla wspaniałej gry gruzińskiego aktora Awtandila Macharadze, kreującego postać Warlama, a także jego syna, Abła Arawidze (który stara się nie dopuścić do „pomiatania” pamięcią swojego ojca). Tenże, współczesny już nam, Abel nie zawaha się przed próbą umieszczenia oskarżonej, Ketewan Barateli, w szpitalu dla psychicznie chorych (mimo orzeczenia lekarzy o jej całkowitej poczytalności), aby przerwać coraz bardziej kompromitujący jego ojca, a także jego samego, proces. I dopiero tragiczny w swym ostatecznym wyrazie protest kilkunastoletniego syna Abła, Tornike, sprawi, że Abel dopuści do głosu własne sumienie i z kolei on sam wykopie z ziemi zwłoki Warlama Arawidze.

To tylko bardzo ogólny zarys historii, którą opowiada w „Pokucie” Tengiz Abuladze. Ogólny i ubogi zarazem, bo nie mogący ukazać całego bogactwa filmowego języka, jakim posługuje się reżyser. „Pokuta” to opowieść jakby z pogranicza snu i jawy, baśniowości i realizmu, pełna ukrytych znaczeń i metafor, możliwych do pełnego zrozumienia zapewne tylko przez Gruzinów, opowieść pełna odniesień do historii, tradycji i wierzeń, wła-



ciwych jedynie dla oczystego kraju reżysera, kompleksów, wrażliwości i kultury jego rodaków.

A do tego jeszcze jest to film przesiąknięty — przy całej swej tragiczności — charakterystyczną dla twórczości Tengiza Abuladze nuta cienkiej, podskórnej ironii, groteskowości, ponurej komedii, chwilami z pogranicza purnonsensowej satyry. Inna sprawa, że film, ocierający się z początku o troche makabryczną tragifarsę, staje się w miarę upływu czasu i rozwoju akcji coraz bardziej przerażający, coraz bardziej ponury i wstrząsający w nastroju. Aż do momentu, gdy w finale następuje powrót do sceny rozpoczynającej film. I nie wiadomo, czy rzecz cała (to znaczy proces) nie wydarzyła się tylko w imaginacji Ketewan Barateli, córki zamęczonego w jakimś nieznanym lagrze artysty malarza, która nigdy nie wybaczy Warlamowi Arawidze zła, jakie popełnił za życia. Zła, mimo że za jego wieloletnich rządów, miasto rozrosło się, unowocześniło, wykiepniało.

„Pokuta” otrzymała Wielką Nagrodę Specjalną Jury i nagrodę FIPRESCI na MFF w Cannes w 1987 r., oraz również w tym roku Grand Prix na XX Wschodniowym Festiwalu Filmowym w Tbilisi. Jest filmem wybitnym, i — choć nie zawsze łatwym w odbiorze — z gatunku tych, które koniecznie musi się obejrzeć.

M. D.

## Listy do KAMENY

### Nie uczył ojca pacyrza!

Kolego Redaktorze!

Wszak do poruszanej kwestii polskiego Pomorza w recenzji Zygmunta Mikulskiego („Kamena” nr 17: „Życie splecione historii”) z polemiki pt. „Bóg wieszany na rozstrzelanie” moich sprostowań („Kamena” nr 22: „Medice, cura te ipsum!”) i zamieszczonego przez Ciebie Szejne „przyczynka” w „Z notatnika” w tym samym numerze. Bardzo miłe razi, gdy PAP — bezmyślnie tłumacząc serwis informacyjny agencji byłych państw kolonialnych — każe mi skierować przez kilka tygodni, że oto w jakiejś części świata jacyś rebelianci chwycili za broń. Dopiero po jakimś czasie, jakby nigdy nie, podaje jednak przesłanie, iż są to bojownicy o wolność swego uciemiężonego narodu. Szanując się publicznie nie przejdę nigdy niemieckiego nazewnictwa dla przedwojennego Pomorza.

Nawet Mazur Pupilarcki w rozmowie z Melchorem Waszkowiczem sroczniał („Na tropach Smętki”, str. 129—131) ważność nazewnictwa politycznego, a postulując się terminem „korytarz”, rozumiał go jako hitlerowskie zadanie „eksterytorialnych szlaków komunikacyjnych” przez Pomorzec. „Mówi, że znajome wojski, co z urtaupu z Reichu wracali, opowiadali, co w korridor to im broń odbiera i drzew od cukru na fest się zamika. To oni bardzo sobie tego nie lajdają. Muszą oddać nam ten korridor konkluduje stary.”

— Nie, nie oddamy — mówią wojownicy — a jak będziemy leżli, to będziemy wzięci stryga.

[...] Na ogół jest wierszowane, do politerza sanitety nie dopuszczają, płałowac nie da bonaty Reich, osmioma torami z Prusami Wschodnimi szłyżany.

— Ale wojna? — Jezusie!

Zamyślił się poważnie i stary Pupilarcki. Pozobadził (zmiarkował), że to tak łatwo nie będzie. W głosie coś wazy. I trząsą się starym głowa, tapiruje się z powagą:

— Nie oddata korridoru? — Nie oddamy. — Nie oddata?

— Jakbyście wiedzieli, że nie oddamy. Wazy w sobie coś stary, wazy i decyduję się:

— Jak nie oddata, to już chyba bierta te Ostprojsy; bo to tak zewsząd obtoczono, co nijak nie może... A wama to rychtyg pasuje...

W tomie III „Encyklopedii nauk politycznych” z roku 1938, w haśle: „Korytarz”. Określenie to ujmuje się kądziśle, jako „Schlagwort” propagandy hitlerowskiej, a definicją: „Korytarz” — to w języku dziennikarskim i politycznym skrót, zastępujący formale dość długą, która brzmi jak następuje: część terytorium państwa „Ae przez którą musi i podkreślenie autorów „Encyklopedii” — TJJ się odbywać osobowo, towarowy i poczynny tranzyt pomiędzy dwiema częściami państwa „Ba” Jesno? A więc w tym wypadku Brandenburgia — Prusy Wschodnie a nie np. Bydgoszcz — Gdańsk nad polskim Morzem Bałtyckim. „Odprężenie polityczne [pisza autorzy haśła, zapewne w roku 1937 albo na początku następnego, przed październikowymi rozstrzelaniem — TJJ] polsko-niemieckie, którego wyrazem jest układ z 28 stycznia 1934 r., potoczyło kres niemieckiej propagandzie reżimistycznej, a zatem i termin „korytarz” rzadko jest teraz w związku z polskim Pomorzem używany.”

Tęż słudy nie miał już za kilka miesięcy nawet przedstawiciel koncernu Hearsta, red. Hillman. Posługuje się on tym terminem w taki sposób, jak to czynił w polskiej „Bóg wieszany na rozstrzelanie” i w polskim z Zygmuntem Mikulskim. Zadaje pytanie byłemu germanofilowi, ucieczonemu już z tego chyba całkowicie, ministrowi Bechowi (cytuje za „Głosem Lubelskim” nr 299 z 31 października 1938 roku): „Mówi się, że przedrona są obecnie rokowania między Polską a Niemcami w sprawie przekazania Gdańska Niemcom i stworzenia neutralnego korytarza, czy też pewna przejęcia przez polskie Pomorzec, celem połączenia Niemiec i Prus Wschodnimi?”

Trzydzieści dni wcześniej ten sam dziennik, propagujący przecież idee Stronnicia Narodowego, ale już nieco ostywały z sympatią profasystowskich, krzyczy wielkim tytułem („Głos Lubelski” nr 287 z 19 października): FANTASTYCZNE DONIESIENIA Z GDAŃSKA O KORYTARZACH PRZEZ KORYTARZ NIEMCY MOGA PRZESTĄC MARZYĆ. A dalej: „I. Z Polska istnieje rzekome porozumienie co do oddania Gdańska i zredukowania korytarza polskiego do szerokości 3 km., idący w poprzek przez korytarz polski jako połączenie między Rzeszą a Prusami Wschodnimi”. To już pomierzanie z popłataniem.

W dziennikach z 6 maja 1939 roku znalazłem stynną i godną mowy sejmową ministra spraw zagranicznych Józefa Becka. Jej fragment przeczytałem też w wspomnianym już przytoczeniu Marka A. Jaworskiego. Jakże słodko jest przekonać się o obosieczności przyśłowia „nie wiesz, co mówisz”, obojętności Zygmunta Mikulskiego, śladach, obojętnej intencjom. Szanie, tożsacznia moje argumenty w tej polemice. Przeczytajmy uważnie, co powie polski minister, nie odlegający faszyzmu i terminologii i wyraźnie z nią polemizujący,

w dniu 5 maja: „Te same rozważania odnoszą się do komunikacji przez nasze województwo pomorskie. Nalegam na to słowo województwo pomorskie. Słowo „korytarz” jest sztucznym wymysłem, chodzi tu bowiem o odwieczną polską ziemię, mającą znikomy procent osadników niemieckich”. Myślenie o politykach z zacytowanymi należąci do zacytowania. Zgadnam się z Jaworskim: „Wyraźnie tu powiedziano czym w istocie jest korytarz: to hitlerowskiej interpretacji tak określanie nasze województwo pomorskie!” Z tego dopowiedzenia nie mogłem jednak w żaden sposób wyznaczyć, dlaczego to „Kamena” tak gorliwie, nawet w roku 1987, broni terminologii pokonanego zaborcy.

Bracia po pierze, ile się bawimy. Moje zdanie w sprawie (str. 58) na ten temat brzmi: „Pojeżdżamy, że właśnie nam przypadnie przysłużyć się ożyczeniu, bo po zajęciu Austrii wzmagały się żądania wydzielenia korytarza przez Pomorzec”. Co tu mogło wzbudzić takie namietność w umyśle recenzenta? Jest w tym choć ciekaw sprzeczność z pojnowaniem tej sprawy przez ministra Becka?

Podobny błąd popełniają nawet naukowcy tej miary, co Tadeusz Cyprian i Jerzy Sawicki („Nie oszczędzaj Polskę”, „Iskry” 1988) i Włodzisław Wakar („Polski korytarz czy niemiecka enklawa”, „Pojeździe” 1984), cytując bez krytycznego komentarza Niemcom z okresu Republiki Weimarskiej oraz po styczniu 1933 roku ubzduralo się, że polskie Pomorzec jest bolesnym korytarzem włączającym się w tym, kraującojątkankę niemieckiego organizmu państwowego. Ale czy musimy gorliwie się dopowiadać do takiego reżimistycznego i nakładania pisarza, aby to czynić? Może powrótnem posłużyć się słowami: „szlaki”, „drogi” albo zgola „tory”. „szlaki”? Mając do czynienia z takim „recenzentami”, bać się bede budować np. zdanie: „Między ludźmi była sieliska solidarność”. Do natychmiast będzie to będzie skłócenia i przeczytania wykład o pewnym ruchu politycznym z lat 1988—81.

A tak w ogóle to czuję się dobrze, czego i Wam, Koledry, życzę.

Tadeusz Jasiński

## Jeszcze o „Słowie”

Szanowna Redaktorze!

Niniejszym pragnę zastosować się do listu Z. F. Cichoszki zamieszczonego w „Ka-

menie” nr 20/87, a dotyczącego historii grupy literackiej „Słowo” z Krasnegostawu.

Doprawdy nie widzę powodów do publicznego rozdierania szat i dzielenia włosa na czworo rzekomo w trosce o „dzieje piarsztwa”. Ale skoro zostałem wywołany...

Smiem wątpić, czy dla historii literatury sprawą istotną jest to, czy autor listu spotykał się z członkami grupy w garderobie, czy też w świetlicy prowincjonalnego domu kultury. Równie nieważnym wydaje mi się fakt, czy uczestnicy spotkań przechodzili plechotą, czy też przyjeżdżali pociągami albo na rowerze, jest to zaletu nie nie znaczące to do faktów literackich, które zaistniały o wiele później.

A fakty są takie, że jak to zwykle bywa, początki „Słowa” również były słynne i rozmarane w czasie. Jednak ostatnia uetyfikacja dokumentów (zawiesadomienia, honoraria, publikacje) potwierdziła świadome ukonstytuowanie się grupy literackiej jesienią 1977 roku. Pierwotne jej nazwy: „Klub”, „Krasnystaw”, „Słowo” nie zostały dostatecznie udokumentowane w jej działalności literackiej i publicystycznej.

Faktem jest też to, że „Słowo”, jako świadoma formacja literacka, istnieje nie mniej niż 10 lat i pora podsumować jej dorobek oraz kulturotwórczą rolę nie tylko w środowisku. Zaś J. H. Cichoszka ma prawo do subiektywnego osądu i własnych odczuć związanych z działalnością grupy w poszczególnych jej okresach.

To, że działalność grupowa ostatnio nieco przyćmiła, nie jest związane z trygonami czy brakiem trygonów, jak sugeruje autor listu. Zdecydowały o tym w dużej mierze sprawy osobne współtwórców oraz znaczny stopień ich usamodzielnienia się w obrębie życia literackiego. Uważam, że w ciągu ostatnich trzech lat członkowie „Słowa” zebrali o wiele więcej wartościowych publikacji w znaczących tytułach prasowych, niż w ciągu całego poprzedniego okresu. Szkopuł w tym, że reprezentowali w nich siebie, a nie grupę.

Jednocześnie świadomy to o tym, że grupa spełniła swoje cele i ucała nie musi egzystować do „zastawionej emerytury”. Przygotowany ostatnio dimansach „Kamena Słowa” potwierdza rozcięcie się nie tylko do drug trygonów autorów, ale i drug trygonów. Nie będzie to więc „usudomony fałszyk”, ale uczucie pozostawienia tematu na ile literatury współczesnej. A wszystko odbywać się będzie w postaci dwudniowej sesji literackiej w pobliżu listopada br. w Krasnystawskim Domu Kultury, na którą już dziś zapraszam Redaktora, autora listu i Tablicę oraz wszystkich zainteresowanych czytelników „Kamena”.

Z powrotem

Henryk Radej  
Chelm



# Wspomnienia Adama Ochockiego z lat wojny (6)

**P**RZEDWOJENNA fama głosiła, że miastem najgłupszych na świecie Żydów jest nasz Chelm. Na poparcie tej tezy kursowało mnóstwo anegdot.

Na linii kolejowej przebiegającej przez Machaczkałę stał kiosk z pieczywem. Sprzedawcą w owym kiosku był Żyd z Buchary, która również cieszy się podobną sławą, co nasz Chelm. Postronnie osoby nie mogły korzystać z tego punktu dystrybucyjnego. Przeznaczony był wyłącznie na potrzeby żołnierzy jadących tą trasą na front. Gdy pociąg zatrzymywał się na stacji, mogli oni bez karteek w dowolnych ilościach, kupować nieosiągalne w normalnej sprzedaży białe pieczywo.

Podszedłem do kiosku i zagadnąłem sprzedawcę:

— Amchu?

— Amchu — potwierdził, a że znał również odpowiednik tego słowa w jidysz, wycelował we mnie palec. — A Jid? [Żyd?]

— A Jid — przytaknąłem. — Z Polski...

— Co tu robi Żyd z Polski?

Rozejrzałem się dookoła konspiracyjnie, przyłożyłem palec do ust i szepnąłem:

— Tss. Jestem polskim generałem...

— A Jid, polski generał... — cmoknął z podziwu. — A gdzie twoja armia?

Wskazałem na słoczoną gromadkę suchów.

— Formuje się. To pododdział, przyprowadziłem ich na ćwiczenia.

— Czemu chociaż polskiej generał?

— Daj nam białego pieczywa, po dwa bochenki dla każdego.

Bez szemrania spełnił polecenie. Nazajutrz zjawiliśmy się w komplecie z workami. Uginając się pod ich ciężarem, wróciliśmy do ewakopunktu, sprzedawszy część fasunku po drodze. Ale trzeciego dnia kłoskarz z Buchary widać skapanował się, że tu coś nie jest tak, bo zażądał legitymacji oficerskiej. Wiecej może zbyt pochopnie pozbawiłem ziemków z Chelma palmy pierwszeństwa?

Wypadki po białe pieczywo stanowiły drobny epizod w naszym zawodzie nosilszczików. Nadal obsługiwałem pasażerów przybywających do Machaczkały z odległych zakątków Rosji.

Gdy przy pomocy kolegi ładowałem sobie na plecy dwie walizy, usłyszałem za sobą:

— Przepraszam, czy pan Adaś z Łodzi?

Z wrażenia ładunek o mało nie wyśliznął na betonie peronu.

— Tak... to ja...

— Pan mnie nie zna, chodziłem w Łodzi do gimnazjum Hochsteinowej na rogu Wólczanńskiej i Zielonej. Pamiętam pańskie siostry...

Tak poznałem Ludmilę, z którą spędziłem dziecięce lata życia, moją przyszłą żonę i matkę dwojga naszych dzieci. Przyjechała tu razem z wujkiem i jego żoną.

— Chcemy się udać dalej, do Azji Środkowej. W Machaczkałę też może być gorąco. Niemcy ostryżają sobie apetyt na Baku, zagłębie naftowe, to niedaleko stąd. A co pan zamierza?

— Sam jeszcze nie wiem. Na razie tutaj zapuściłem korzenie. Pracuję jako... — spuściłem wstydliwie głowę. — Przed wojną robiłem coś innego...

— Wiem, pracowałem pan w „Expressie”. A Małusię Fiszman pan pamięta? Miała takie śliczne warkoczki...

— Oczywiście! I Rute Klasner, Dolke Szenwald. Pani do ewakopunktu?

— Tak. Proszę, państwo się poznają. Masja, moja ciocia, Grisza, mój wujek...

Po drodze, w krótkich urwanych słowach przypominaliśmy sobie wspólnych kolegów, koleżanki ze szkoły, sklepy, ulice...

Ludmila opuściła Łódź zaraz po wkroczeniu Niemców, pojechała do Odessy, do swojej rodziny, dostała paszport radziecki, ale z paragrafem, nie wolno jej było, jak mnie, zamieszkać w miastach wojewódzkich, zaprzeczonych strefach itd.

— Chcemy przedostać się przez Morze Kaspijskie do Tadżykistanu, nad afgańską granicę. Może pan się z nami zabierze?

— Wątpię, czy na moje udostowiernienie sprzedadzą mi bilet na statek.

— Zobaczymy, może coś się da załatwić.

Wujek Ludmily bez trudu dostał trzy bilety na statek do Krasnowodzka, portu z drugiej strony morza. Mnie odprawiono z kwitkiem. Nie przejąłem się tym zbytnio, wierzyłem w swoją szczęśliwą gwiazdę.

Ułożyłem sobie plan dostania się na statek bez biletu. Masja, Ludmila i Grisza przejdą na pokład, przeczeka kilka chwil, Grisza będzie trzymał w pogotowiu jeden z ich biletów, pobiegnę za nimi, wezmę bilet i okaże milicjantom kontrolującym razem z marynarzami pasażerów, a jak się przedostanę przez kordon, to już moja głowa.

Zobaczywszy Ludmilę, Masję i Griszę na trapie, podniosłem wzrok:

— Karaul! Utaszczył mi dokumenty!!!

Utrata dokumentów w czasie wojny i to przez młodego mężczyznę w wieku poborowym to tak, jak cywilna śmierć. Powstało zamieszanie, milicjanci stracili na moment głowę, przepuścili mnie. Z workiem na plecach pobiegłem do Griszy, wyrwałem mu bilet, wróciłem i, okazując dokument podróży przedstawicielom kadu publicznego, zawołałem:

— Wszystko w porządku! Mój towarzysz przez pomyłkę zabrał bilet i udostowiernienie. Państwa, prowiercie!

Sprawdził i — droga wolna! Grisza pokręcił z uznaniem głową.

— To był numer jak z filmu sensacyjnego!

Krasnowodzk powitał nas tłumami wcześniej przybyłych pasażerów i... niespodzianka. Ledwo spuszczone trapy, wdarli się na nie ludzie z naczyńkami w ręku.

— Dajcie nam słodkiej wody!

Wszystko wyjaśniło się, gdy na dole spróbowałem obmyć ręce pod hydrantem. Mydło nie pienilo się! Słona, morską wodą pozbawia je tej właściwości.

To ci dopiero! Jak wytrzymamy bez zwykłej wody?

Masja, Ludmila i Grisza zawierzyli mojemu sprytowi i nie zawiedli się. Zdobyłem dwie baklażki, takie większe manierki, i poszliśmy z Griszą na polowanie. On z wiaderkiem czekał na ulicy, ja

— W oczekiwaniu na pociąg do Stalinabadu na krok nie ruszyliśmy się z poczekalni dworca kolejowego.

Urzędnik Gorispolkomu, Gorodskowo Ispolnitelnowo Komiteta, goroda Stalinbad, odpowiednika naszego Urzędu Miasta, popatrzył na dokumenty.

— Tutaj nie macie czego szukać, tym bardziej, że towarzysz — wskazał na mnie — nie ma prawa stałego pobytu w mieście wojewódzkim. Ale cała okolica jest do waszej dyspozycji. Tam praca czeka na ludzi, a wy — znowu obrócić głowę w moją stronę — macie wspaniały zawód. Traktorzysta, ho, ho! Na rękach będą was nosić!

I wypisał nam skierowania do kolchozu w miejscowości Czeptura, oddalonej od stolicy o kilkanaście kilometrów.

Przyjął nas przedsiębiorca kolchozu. Tadżyk około sześćdziesiątki, we wzorzystym, jedwabnym chalcie, bajecznie kolorowej tiubiatejce na głowie. Przeczytał naprawienie, na kobiety ledwo spojrzął, Griszy potrząsnął ręką po europejsku, a mnie o mało nie zadusił w objęciach.

— Indźbilo, aka! Indźbilo! [Witaj, bracie! Witaj!]

Ceremonia przywitania się ze mną przebiegała według ścisłego rytuału.

— Sam Allah cię zesłał. Właśnie w najgorętszym okresie robót polnych stanął traktor.

Ładna historia, jak wybrnę z tej kabały? Postanowiłem grać na zwłokę.

— Najpierw musimy wypocząć.

Ulokował nas w jednym z nielicznych domków drewnianych, z kuchnią, kominem na dachu, ozdobionymi oknami. Członkowie kolchozu, pobratymcy przewodniczącego, mieszkali przeważnie w prymitywnych lepiankach o glinianych podłogach. W otworach okiennych zamiast szyb przeciągnięte były przezroczone pęcherze zwierzęce, a zamiast kominów — okrągłe otwory w dachu, przez które wydobywał się dym.

— Zjecie u mnie posiłek — zaprosił nas do swego seraju.

Rozsiadliśmy się w kucki na pokrytej słomianymi matami podłodze. Mardżion, żona gospodarza, przyniosła lepioszki, wspaniałe smakowite placki pieczone domowym przemysłem, postawiła przed nami wielką miedź z pilawem — i znikła.

Zadnych nakryć, łyżek, talerzy, jak się zabrać do jedzenia?

Gospodarz wybawił nas z kłopotu. Zanurzył rękę w misce, nabrał spracowaną dłońmi garść ryżu, włożył w usta i uczynił zapraszający gest.

— Kuszajcie, państwa, kuszajcie!

Pilaw to ryż z kawałkami baraniny, smażony w oliwie, przyprawiony pikantnymi korzeniami. Po zdjęciu potrawy z kuchni trzyma się ją jakiś czas pod koldrą, żeby „doszła”, a cała ta procedura sprawia, że ryż jest tak sypki jak w stanie surowym, każde ziarenko, przesycone tłuszczem, wielkości pęczaku.

No dobrze, ale tak rękami, wprost z miedzy, wszyscy z jednej? Chwila wahania i poszliśmy za przykładem Tadżyka.

Nazajutrz poszedłem przyjrzeć się z bliska stojącemu samotnie w polu traktorowi. Sam jego widok mógł przyprawić o drżenie łydek. Był to staliniec na gasienicach, potworny, olbrzymi jak smok. Z przodu miał koło zamachowe z okrągłymi otworami. Żeby zapuścić silnik, należało w jeden z tych otworów wsadzić dźwidź i szarpnąć z całej siły do dołu. Brr!

Kręcąc się w pobliżu czaban, pastuch owiec, uświadomił mi, że przy spóźnionym zaplonie koło zamachowe daje raptownie do tyłu i kiedyś wyrzucona zdziła przebiła na wylot pasącą się krowę. Na pewno drań przesadził, ale wystarczyło, żeby dusza uciekła mi w pięty.

Gdy tak krążyłem w bezpiecznej odległości dookoła potwora, podeszło kilku chłopów, uczniów pobliskiego FZU (fabryczno-zawodowe uczyłszcze), sposobiącego do zawodu kierowców i traktorzystów.

Wybrałem najśmielszego.

— Chociesz zarobotać' dziesiątku?

— Choczu.

— To zapuść silnik!

Chłopak pogmerał w maszynę, wyjął monetę dwudziestokopiejkową, potarł nią magneto, wskoczył na siodełko, coś tam nacisnął — silnik zaskoczył!

— Sadities', diadia, wsio w poriadku.

Odgłos warczącego traktora zwabił przewodniczącego i kilku kolchoźników.

— Molodiec! — zawołał gospodarz. Opuścił bronę i przekrzykując szum silnika, polecił mi przejechać wzdłuż bruzd. — Pachaj, aka, pachaj! Dokola!

Kierować umiałem. Objechałem kilka razy plataninę bruzd, wreszcie przewodniczący dał znak ręką: chwali!

Ba, ale jak zatrzymać tego smoka?

— Chwali! — wołał, biegnąc za traktorem i zalamując dłonie. — Złaż! Słyszysz? Złaż!

Dobrze powiedzieć, tylko ja zapomniałem spytać owego chłopca, co należy nacisnąć, za co pociągnąć, żeby osadzić w miejscu to bydło.

I byłbym nie wiem jak długo krążył po polu, ryjąc się coraz głębiej, ale skończył się zapas litroiny w baku, silnik zrobił pyk, pyk i traktor stanął.

Co było potem, lepiej nie mówić. Przewodniczący kazał nam miגיע wynosić się. Nawet nie zapomniałem, jak po tadżycku brzmi: „Zegnaj bracie!” W uszach brzmiało mi przyjazne, powitalne „Indźbilo, aka”...

— Wiedziałem, że towarzysz przyjechał do nas z Łodzi, że ma żonę i dzieci, że jest polskim generałem...

— Jaki jest wasz zawód?

— Szofer. — odparłem bez zająknięcia.

Na ulicy przeczytałem, że zakwalifikowano mnie jako szofera-traktorzystę! No cóż, widać jest tu duży popyt na traktorzystów.

— Jutro chcemy jechać dalej — powiedział Grisza. — Bezpośredniego połączenia ze Stalinbadem nie ma, czeka nas przesiadka w Taszkencie. My na moją komandirówkę dostaniemy bilety, ale o będzie z tobą? Nie chcielibyśmy się rozstawać. Ludzie tygodniami obiegają kasy na dworcu...

Wróciłem do Wojenkomatu, gdzie kilka godzin temu poddałem się oględzinom lekarskim, i w swym stroju obozowym wtargnąłem do pokoju komendanta, był chyba w randze pułkownika.

— Jestem polskim obywatelem, objętym amnestią na podstawie... — wyrecytowałem bezbłędnie treść mego udostowiernienia.

— W czym mogą być' polizen?

— Chcę się dostać do Tadżykistanu, tam pojechało sporo naszych. Łatwiej mi będzie urządzić się wśród nich, przeżyć razem lata wojny...

— Nie widzę przeszkód.

— Tak, ale jak się docisnąć do kasy kolejowej? Mrowie narodu, a ja nie mogę dłużej tu zostać, pieniądze mi się kończą. Sami rozumiecie, towarzyszu, proszę o jakieś piśmanko, żeby mi od ręki, bez kolejki, sprzedał bilet...

Wojenkom, komendant wojskowy miasta Krasnowodzka, wypisał mi zaświadczenie, upoważniające do bezpłatnego przejazdu do Stalinabadu (dziś Duszanbe), przyłożył okrągłą pieczęć, życzył szybkiego dotarcia do swoich i polecił zaopatrzyć mnie w wiktualia na drogę.

I tak znowu doszłusowałem do obu pań i Griszy. O Taszkencie, najbliższej naszej atacji przesiadkowej, miałem mętne pojęcie. I chociaż spędziłem tam dwa dni, nie właściwie nie zobaczyłem, bo

## Sam Allah cię zesłał

odwiedzałem różne przedsiębiorstwa, mówiłem, że szukam pracy, a gdy zostawałem sam w pokoju czy na korytarzu, odkręcałem kurki stojących tam pojemników ze słodką wodą, napełniałem baklażki, zawartość wlewałem do trzymanego przez Griszę wiaderka, po czym lup zanosiliśmy paniom.

Pragnąc uniknąć nieprzyjemności w dalszych etapach wędrówki, zgłosiłem się na ochotnika do Wojenkomatu. Stałem przed komisją. Wydano mi dokument stwierdzający, że nadaję się do pospolitego ruszenia bez broni.

— Jaki jest wasz zawód?

— Szofer. — odparłem bez zająknięcia.

Na ulicy przeczytałem, że zakwalifikowano mnie jako szofera-traktorzystę! No cóż, widać jest tu duży popyt na traktorzystów.

— Jutro chcemy jechać dalej — powiedział Grisza. — Bezpośredniego połączenia ze Stalinbadem nie ma, czeka nas przesiadka w Taszkencie. My na moją komandirówkę dostaniemy bilety, ale o będzie z tobą? Nie chcielibyśmy się rozstawać. Ludzie tygodniami obiegają kasy na dworcu...

Wróciłem do Wojenkomatu, gdzie kilka godzin temu poddałem się oględzinom lekarskim, i w swym stroju obozowym wtargnąłem do pokoju komendanta, był chyba w randze pułkownika.

— Jestem polskim obywatelem, objętym amnestią na podstawie... — wyrecytowałem bezbłędnie treść mego udostowiernienia.

— W czym mogą być' polizen?

— Chcę się dostać do Tadżykistanu, tam pojechało sporo naszych. Łatwiej mi będzie urządzić się wśród nich, przeżyć razem lata wojny...

— Nie widzę przeszkód.

— Tak, ale jak się docisnąć do kasy kolejowej? Mrowie narodu, a ja nie mogę dłużej tu zostać, pieniądze mi się kończą. Sami rozumiecie, towarzyszu, proszę o jakieś piśmanko, żeby mi od ręki, bez kolejki, sprzedał bilet...

Wojenkom, komendant wojskowy miasta Krasnowodzka, wypisał mi zaświadczenie, upoważniające do bezpłatnego przejazdu do Stalinabadu (dziś Duszanbe), przyłożył okrągłą pieczęć, życzył szybkiego dotarcia do swoich i polecił zaopatrzyć mnie w wiktualia na drogę.

I tak znowu doszłusowałem do obu pań i Griszy. O Taszkencie, najbliższej naszej atacji przesiadkowej, miałem mętne pojęcie. I chociaż spędziłem tam dwa dni, nie właściwie nie zobaczyłem, bo



# Krzyżówka nr 19 - szyfrogram literacki

Popatrzenie na mapę słynną Azji. Ten cenniejszy łańcuch górski na granicy Tadżykistanu i Afganistanu — to Pamir, poddasze świata, pokryty wiecznymi lodowcami i śniegiem. U podnóża tego giganta, z najwyższym szczytem sięgającym siedmiu i pół tysiąca metrów nad poziomem morza, przycupnęła niewielka osada Chanaka w rejonie gissarskim. To tutaj autor tych wspomnień sprzed pół wieku przeżył trzy długie lata, z dala od swego rodzinnego miasta i zgileku wojny.

Z nie tajonym wzruszeniem przywodzę na pamięć pobyt w tej zagubionej w sercu Azji Środkowej miejscowości, gdzie różnie los mnie darzył, raz na wozie, raz pod wozem (dosłownie!), ale przecież przeżyliśmy tu z Ludmiłą najszcześniejsze chwile, bo tutaj przyszła na świat nasza kochana córka...

Nie okłamałem komendanta wojskowego goroda Krasnowodzk, kiedy to, jakby wiedziony intuicją, wyraziłem chęć dołączenia do swoich. W Chanaka przed naszym przybyciem osiedliła się spora kolonia polska. Ponad dwadzieścia rodzin z małymi i dorastającymi dziećmi znalazło tu przystań życiową. Walkucy, Pobereźni, Jabłonkowie, Wałchoocy, Waizerowie...

Już na stacji kolejowej usłyszałem znajomą mowę i po chwili paru rodaków ścisnęło nam ręce.

— Witajcie w dalekiej obczyźnie! Jesteśmy tu już od dwóch tygodni. Można żyć, o mieszkaniu nietrudno. Rosjanki, których mężowie poszli na front, chętnie odstępują pokoje. Tadżycy są gościnni, ale z nimi trudno się porozumieć. Poza tym ich tryb życia, obyczaje różnią się bardzo od naszych...

Opowiedział o swych przeżyciach do chwili aresztowania pamiętnego lata 1940. Rodziny, w odróżnieniu od odinokich, internowano w posiadłościach, zamkniętych wioskach. Mieli większą swobodę, mogli poruszać się na dość dużym terenie. Za pracę dostawali wynagrodzenie w gotówce, częściowo w prowiantach. Spali wygodnie, ale gdy nam kuchnia wydawała gotowe potrawy, żony, siostry i matki siemiężnych same musiały się o to troszczyć. Mężczyźni pracowali, na barkach kobiet spoczywał ciężar prowadzenia gospodarstwa domowego. Znajomy komandir powiedział im, że wszyscy mieliśmy znaczne wyroki po osiem lat za... nielegalne przekroczenie granicy.

Tu aż się prosi anegdota z owych czasów, z ponurego okresu beriońszczyzny.

Spotyka się dwóch grażdan.

— Kopeć lat, kopeć lat! A gdzie to szanowny obywatel się podziewał?

- Siedziałem.
- Coś takiego. Jak długo?
- Pięć lat.
- Za co?
- Za nic.
- To niemożliwe. Za nic dają dziesięć!

A z mieszkaniem rzeczywiście poszło gładko. Naszą czwórkę przygarnęła pod swój dach Marusia, rodem z Ufy. Jeden pokój zajęli Grizis i Masja, w drugim rozlokowaliśmy się z Ludmiłą. Gospodyni okazała nam duże serce i wyrozumiałość. Była przypadocznaja, cierpiała na chorobę św. Wita.

Po niefortunnych debiutach za kółkiem we Lwowie i Czeprturze postanowiłem nie próbować już szczęścia w zawodzie kierowcy, tym bardziej traktorzysty. Do pracy nie spieszyłem się. Mieliliśmy trochę oszczędności, na przydziały kartkowe starczyło, było co włożyć do garnka, tylko nie było cynam... napalić pod kuchnia.

Kłopoty z opałem okazały się problemem numer jeden. Węgla w ciągu tych kilku lat nie widziałem na oczy. Drewna — ani na lekarstwo. Tadżykistan jest zalesiony zaledwie w kilku procentach, a w najbliższej okolicy, bogatej w sady owocowe, nie rosło ani jedno drzewo na opał.

Drzewy jest ten świat! W Rybińsku lasy przytłaczały nas swą obecnością, gdzie się człowiek ruszył — sosny, brzozy, buki, po nocach śniły się nam potwornie rozgałęzione drzewa, a tu nie, pustka...

Miejscowa ludność radziła sobie jakoś. Pod kuchniami spalano ścięte, wysuszone krzaczki bawełny, ale za wiązkę takiego „chuzopaju” trzeba było słono płacić.

— Zabierz się do lepienia kiziaków — doradziła Marusia.

Kizaki to prasowane cegły z gnoju, używane na opał. W Chanaka produkowano je domowym sposobem na własne potrzeby. Rano, gdy krowy wychodziły na pastwisko wędrowały za nimi gromady kobiet, przeważnie Rosjanki, i skrzetnie podbierały placki pozostawiane przez ich karmicielki. Dochodziło do kłótni, nieraz kobiety daryły się za włosy.

— To moja korowa! Uchadil!

— Nieprawda, sama widziałam, że to z mojej krowy!

A ja, jak ten wróbel, co przy stadzie gruchających gołębi zawsze coś sobie uszczknie, krażyłem z wiaderkiem wśród kłócących się i nigdy z pustymi rękoma do domu nie wracałem.

Produkcje kiziaków oparłem na recepte udzielonej mi przez gospodynię. Dół w ziemi wypełniałem krowim i końskim nawozem w proporcji pół na pół, zaprawiałem to szezczą słomy i gdy lśnił miesiły masę nogami używałem do tego celu starej warzawki, po czym surowiec wkładałem do blaszanej miski i jak bawiące się w piasku dzieci, stawałem babki i w promieniach silnie operującego słońca kizaki szybko twardniały. Już na drugi dzień nadawały się do użytku. Dzięki moim wyteżonym wysiłkom sarajczak Marusi nigdy nie świecił pustkami.

(cdn.)

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15			
16	17	18		19	20	21	22	23	24	25	26		27	28	29	30	
	31		32	33	34		35	36	37		38	39	40	41	42	43	44
	45	46	47		48	49	50		51	52	53		54	55		56	57
58	59		60	61	62	63		64	65	66	67	68	69	70	71		72
73	74	75	76	77		78	79	80	81		82	83		84	85	86	
87	88	89	90		91	92	93	94		95	96	97	98	99		100	101
102		103	104	105		106	107	108	109	110		111	112		113	114	
115	116	117	118	119		120	121	122	123	124		125	126		127	128	129
130	131	132	133	134	135		136	137	138		139	140	141	142	143	144	145
146	147		148		149	150	151	152		153	154	155		156	157	158	159
160	161	162	163		164	165	166	167	168	169	170	171		172	173	174	175

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment tekstu autora, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 16 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między słowami.

## Wyrazy pomocnicze

1. możliwość obserwacji w danych wrunkach — 1, 173, 40, 55, 164, 143, 163, 23, 146, 135;
2. projektodawca — 17, 25, 160, 130, 70, 43, 122, 34, 11;
3. pracownik elektrowni — 37, 47, 50, 61, 91, 101, 115, 121, 26;
4. narzędzie rybaka — 16, 49, 162, 147;
5. miasto w woj. siedleckim — 44, 4, 171, 62, 75;
6. ezerwcowy solenizant — 3, 160, 106, 85, 144, 52;
7. odpad przy struganiu drewna — 7, 59, 93, 73;
8. małżonek — 27, 99, 102;
9. człowiek śniegu — 20, 46, 155, 128;
10. przedstawiana jako kościotrup z kosą — 134, 86, 161, 124, 92, 175;
11. miasto w woj. przemyskim — 21, 30, 3, 31, 122, 131, 12, 158;
12. powieść Dostojewskiego — 30, 84, 98, 15, 56, 116;
13. argumentacja, przemówienie — 29, 79, 168, 96, 5;
14. kopa siana — 66, 100, 23, 10;
15. od ramion do bioder — 22, 76, 38, 159, 90;
16. wykształcony, pracujący umysłowo — 36, 48, 45, 71, 108, 123, 60, 170, 132, 19;
17. porcelaną słynie — 9, 95, 137, 53, 80, 151, 127;
18. należy do przewodu pokarmowego — 111, 89, 166, 154, 103, 81, 32;
19. barwny luk — 14, 18, 87, 165, 57;
20. myśl przed tekstem książki — 105, 41, 78, 68, 6;
21. aromatyczna przyprawa do kielbasy — 54, 68, 33, 149, 136, 77, 58;
22. duże miasto Litewskiej SRR — 64, 145, 42, 118, 133;
23. cyganeria — 19, 65, 86, 112, 147, 25;
24. pasą się na halach — 110, 51, 142, 138;
25. pocisk lotniczy — 94, 119, 172, 125, 148;
26. głównym jej miastem były Teby — 63, 129, 104, 82, 152, 74;
27. deser — 150, 141, 33, 107;
28. kopalnie soli w dawnych czasach — 120, 68, 156, 2;
29. na żołnierskiej czapce — 167, 24, 157, 109;
30. barwny ptak — 72, 114, 139;
31. pokrywa — 97, 140, 174, 153, 126;

- Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy wartości 500 zł.
- ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 17 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO
- ...stały naprzeciw siebie obie jego nalożnice: monarchini, która nie miała dość siły, by się go wyrzec, i kobieta z ludu, której on nie umiał się wyrzec. A z boków patrzyła na nie prawowita małżonka dona Manuela, patrzył prawowity małżonek doni Marii Luizy i prawowity małżonek Pepsy. (Goya y Lucientes)
- Lion Feuchtwanger  
Goya
- Nagrodę wylosował Robert Kuna, ul. Na Szlakowisku 11/66, 27-200 Starachowice, mwnęm

## Zderzenia

### „Gazowe” zamieszanie

6 PAŹDZIERNIKA w bloku przy ulicy Niepodległości 3, na cały dzień wstrzymano dostawę gazu do mieszkań. Bez żadnego wyjaśnienia czy wcześniejszego uprzedzenia lokatorów. Nic zatem dziwnego, że co chwila ktoś manipulował kurkami, jako że ciepła strawa przynajmniej raz w ciągu dnia jest dla organizmu bezwzględnie wskazana. Późnym wieczorem przebiegli korytarze zainstalowany „gazownik” potracając w pobliżu dzwonek klawiszowy i wykrzykując, by przez pół godziny każdy zostawił kuchnię w spokoju. Nie może wam paść do głowy, że to ciągłe ktoś ma odcięty gaz? Oczekaliśmy, jak wykazało blokowe konsylium, że nie czterdzieści minut, lecz godzinę gazowe odjechało już po kwadransie. Próby telefonicznego kontaktu okazały się beznaładne. Zderzeniowani mieszkańcy interweniowali u dyżurnych pracowników EW PZPR w Urzędzie Miasta. Z gazem wszak jak wiadomo, nie ma żartów. Niech by tam elektryczność, a nawet i woda!

Następnego ranka pożądana substancja także nie dotarła do mieszkań. Ujawniły się jednak stosowne działania. Na klatce wykwitły ogłoszenia administracji potwierdzające w swej treści wieczorne wezwania „gazownika” — „Dobrze zakręcić kurki! Po „suchej” strawie no śniadanie i „suchym” obiedzie, zapitym podstarzałą smętniaki „mandarynką”, nadal oczekiwaliśmy na przywrócenie owej cennej rdozyczy ey-



Rys. Józef Tarłowski

wilizacji. Dopiero o zmroku i październik sjał się jakimś sposobem, by „odpowietrzyć” kuchnię. Gaz znów popłynął, zaoblotowały ziemniaki i skończył się dziesięć dwudniowy Wielki Post. Z radością spiesze donieść, że ani „gazownik” nie wyciekał tym razem w powietrze. Chwała więc „gazownikom” i administracji. Więcej takich akcii a na pewno, i tu, i tu, się doczekamy.

## Gra „w zielone”

PISALISMY SWEGO CZASU na łamach „Kamery” o sporze, jaki wywołano postawieniem kiosku z kwiatami na osiedlowym trawniku. Spor ow tuwa zresztą nadal, choć w całej sprawie wymyślono już ponad dwadzieście pism urzędowych. Tymczasem zgola odwrotną postawę prezentują, jak się wydało, decydują o działaniu Czuby Usytuowany niedgdy na obszernym parkingu postój taksówek przy ul. Bohanej przemieszczone obecnie na pobliski trawnik. Na jego zawężeniu wbito żelazną rusę z tablicą „Taxi” a miejsce dla oczekujących usytuowano w samym centrum zielenca. To nie że ow postój ma teoretycznie pomieścić tylko dwa pojazdy. Niecierpliw amatorzy szybkiego przemieszczania się zdążyli już właśnie zadeptać resztki bujnej trawy. Na parkingu tymczasem grają się w jesiennym słońcu wsta mieszkańcow obojętne bloków.

Pamiętacie więc o pensjonacie z ulicy Łopacińskiego, chciałoby się zwać „Cz. Król, gardom, co dzielnica to obywatel”.

Czy gra Pan „w zielone”? Panie Prezesie!

(h)



**S**TOIMY na kwadrato-  
wym brukowanym  
podwórku w dzielnicy  
Za Cukrownią. Do-  
biega nas ostry, jesienny  
wiatr i daleki stukot oja-  
cych w złącza żywności Kraj-  
obraz jakby żywym wyjęty  
sprzed wojny — to podwór-  
ko, okopane ściany cegla-  
nych kamienic, gdzie przy  
klatce schodowej wybite ok-  
no, jakieś szepty i krzyki,  
wyrzające się z mrocznych  
zagraczonych pomieszczeń. I  
samotny, żelazny trzepak, mo-  
gący być i zamkiem, i koniem  
na biegunach i góra lodowa,  
jeśli tylko ma się rozległą  
dziecięcą wyobraźnię. Dobrze,  
że taki to kraj obraz. Pasują  
doń słowa mojego rozmówcy.  
Może w innym miejscu tra-  
cifyby manierą, a ludzie nie-  
chętnie słuchają teraz ludzkie-  
go losu, który nie brzmi  
prawdziwie.

— A dorożka? — pytam.  
— Stoi u syna na działce —  
odpowiada pan Antoni. — W ta-  
kiej szopie są narzędzia. Dzieci  
po niej skaczą w sobotę i nie-  
działę, ale i ja czasami sobie  
przysiadę na koźle.

— Myśli pan wtedy o dawnych  
latach?  
— Nie. Dotykam tylko żelaznej  
poręczy. Życie nie zmięknęło  
tak bardzo, jak byśmy myśleli,  
choć... Tamte szalone jazdy  
strojnych oficerów po mieście,  
truchtańskie podmiejskie ścieżki  
z zakochaną parą, ci chłopcy  
wskakujący do dorożki z bukietem  
kwiatów dla panny, te po-  
stacie brodatych Żydów i ma-  
łoców z nareczkami gazet — to  
tylko nasza tęsknota. Widzę je  
czasami, kiedy wieczorem przykne-  
nę oczy — całe to przeminięte  
miasto, tak inne od dzisiejszego. A  
jednak... Dobrze wiem, że to pa-  
mięć nie jest wcale prawdziwa.  
Człowiek zawsze dobrze pa-  
mięta tylko czas, w którym był  
jeszcze młody. Przenosi później  
taką nieprawdę na swoje własne  
dzieci i powstaje legenda.

— Panie Antoni, dorożkarze to  
byli twardy naród...  
— Zawsze mnie ciągnęło do  
koleżek i mówić na małe „Me-  
leskoliki”, ale naprawdę w kaszę  
to sobie nie dałem. W dziesiątym  
roku życia byłem pierwszym uc-  
niem w wiejskiej szkole, a od  
nauczyciela Sowiańskiego uczyłem  
się nawet gry na skrzypcach.  
— Niech więc pan mówi dalej  
o tamtej legendzie.

— Myśli pan, że to nie tak, że  
nie to rozumiem? Niech pan spoj-  
rzy, dzisiaj ludzie narzekają na  
lata pięćdziesiąte, że takie były  
głupie, a nawet okrutne, ale ci,  
co wtedy byli młodzi, jak zaśpie-  
wają sobie taką swoją piosenkę,  
to też im się w oku zakręciła.  
Każde czasy są „swoje” dla tych,  
co je przeżywali.

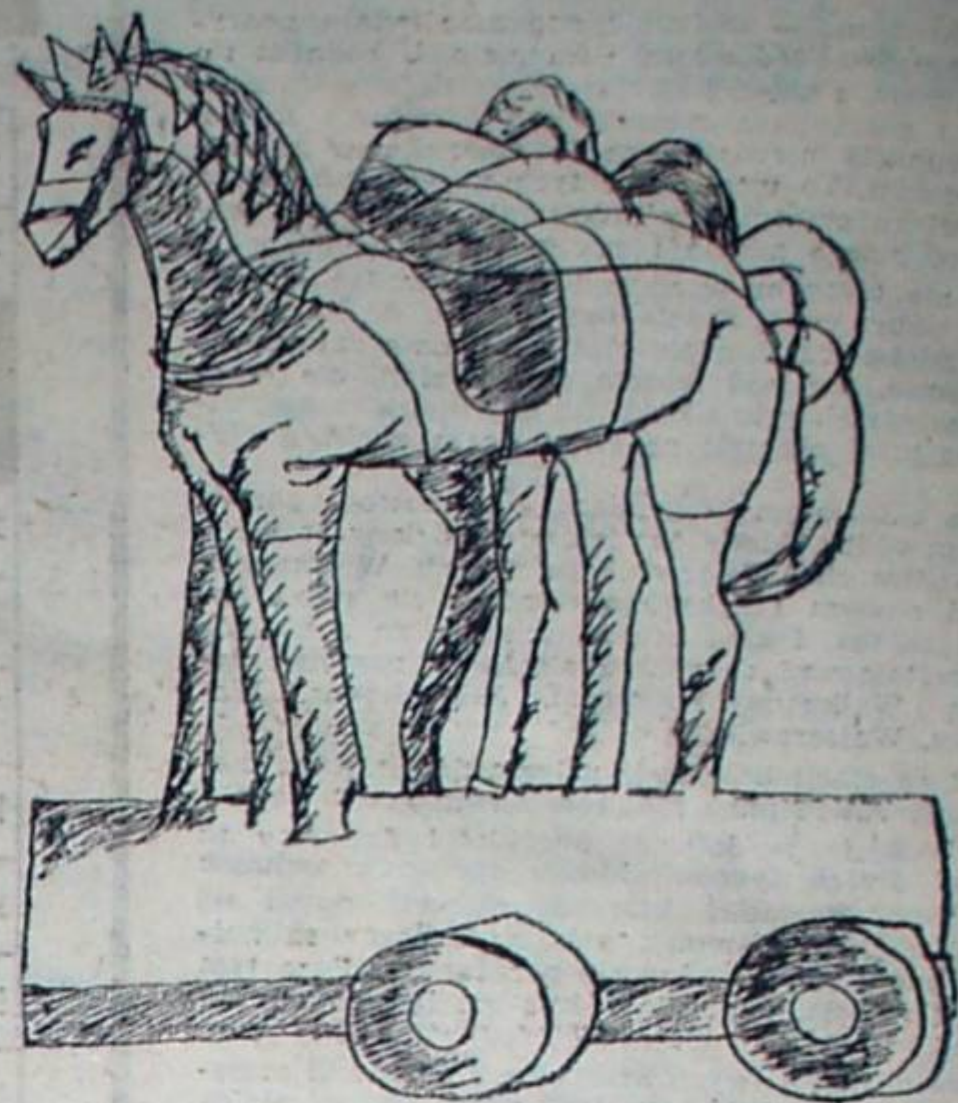
— A pańskie dorożkowanie?  
— To już z dziada pradziada.  
Syn też jest dorożkarzem, tyle  
że na taksówce. Nieśmy się na-  
walczyli z tymi samochodami, ale  
z „nowym” — dobrym nigdy czło-  
wiek nie wygra. I szkło spallil-  
my, żeby przebić opony. Jak  
sobie wspomnę te lata, aż  
mnie strach oblatuje na własną  
głupotę. Ale ludzie niechętnie wi-  
dzą odchodzenie czegoś, do czego  
przywykli. A dorożki? Czy nie  
mogłyby jeździć także i dzisiaj?  
O, tak od święta. Jedzie pan na  
przykład takim powozem do ślu-  
bu; konik rży, bukiety wstążek  
frusują na wietrze, strzela bóg  
i pachnie natłuszczoną skórą. A  
dzisiaj co? Bzyk i po wszyst-  
kim. Nawet się gapię nie zdąży  
przypatrzeć młodej pannie, na-  
wet się pan młody nie zdąży  
jeszcze raz zastanowić. Niech tam  
i Mercedes, a to i tak nie to  
samo. Na święcie coraz więcej  
ludzi lubi także starość. Rozmaite

tęsknoty budzą się w człowieku.  
No, co, nie pojechałby pan do  
ślubu taką wyczyszczonej dryndą?  
I zdjął od razu tuno i wspom-  
nienia do śmieci.

Mój dziadek to jeszcze jeździł  
z ładunkiem owsa do Tarnopola.  
Woził ten owes dla carskiej ka-  
walerii. Pod Koszową zabrała go  
cholera. A ojciec, to już tylko  
fornal. Ale przecież i tak pozos-  
tał przy koniach. Do koni to,  
pano, jest naprawdę żal. Mój  
syn i wnuczek mówią, że samo-  
chód ma także swoje życie. Że  
nierzadko potrafi uchronić czło-  
wieka od śmierci. A mnie bierze  
pusty śmiech na takie gadanie.  
Tak to próbują sobie dopowe-  
dzieć marzenia. Bo naprawdę, to  
oni sami ratowali sobie to życie.  
A koń? Koń, to co innego. Koń  
naprawdę czuje i potrafi zrozu-  
mieć człowieka. Nierzadko, kiedy  
się stało czekając na gościa, to i  
ogryzał się człowiek i miał do  
kogo te kilka słów wypowiedzieć.  
Z koniem nigdy nie był pan do  
końca samotny.

Przysiadamy teraz na małej  
koślawej ławeczce — tuż przy  
szorstkim murze. Pan Antoni  
dobiega osiemdziesiątki, ale  
choć, jak powiada, zimna już  
w nim krew, nie może się

Nieraz nam dopieklł, a i my im  
też. Chyba, że się wozło gościa,  
co to się bał go zatrzymać. A  
jak przyszedł kryzys, przyszły  
ciężkie czasy. Wtedy zaczęli nas  
nazywać „dzielworkami”. Bo trzeba  
było wozić w workach obrę-  
dła dla koni. Zawieszano się taki  
worki wysoko na kołobli, żeby go  
więcej niż potrzeba koń nie stę-  
pnął pyskiem. A jak się stało pod  
lokalami i wychodzili goście, to  
niejeden ścigał lejca i wołał  
„prrr”, a w tym czasie bódł bi-  
czyskiem szkapę pod zebra, żeby  
to pokazać jakie ma ręce ko-  
niki. A chabeta nieraz ledwo sta-  
ła na nogach. Mówili o tym lu-  
dzie i to była prawda. Wiele  
firm i spółek zalamano się wte-  
dy. Ale takim pojedynczym tyło  
się na ogół dobrze; wtedy i za-  
raz po wojnie. Przed Wrześniem  
szybko przybywało samochodów,  
ale wtedy ludzi ciągle się jeszcze  
ich bało, a po Maju to samo-  
chodów prawie w ogóle nie było.  
Tylko wielkie, ciężarowe „koby-  
ły” od wojska. Tak to nas hi-  
storia cofnęła. Ale w okupację  
to ja nie jeździłem. Poszedłem  
pracować do warsztatu, do szwad-  
ra. W zamkniętym pomieszczeniu  
młody mógł się człowiek napa-  
terzyć tego draństwa. Jak wróci-  
łem ze Łwowa, konika już nie



Rys. Edward Ingól

# Tylko konie żał...

Wiesław Horabik

jazgotu w zatłoczonym mie-  
szkaniu. Do synowskiej willi  
także nie ma ochoty. Tu, w  
tej kamienicy zbiegi mu ka-  
wał życia, a na posesji obok  
stały jego koniki.

— Zawsze byłem ciekaw świata —  
ciągnę — że ani mnie było  
utrzymać na jednym miejscu. I  
COP przed wojną budowałem,  
choć krótko, i na Polesiu wi-  
działem, jak po polu pływają w  
tódceczkach. Zanim kupilem dryn-  
dę, to byłem wozakiem u takie-  
go jednego. Co ja się napatrzy-  
łem życia i co się nastuchiłem  
ludzi! W zimie dla rozgrzewki, a  
w lecie na polcechę, musieliśmy  
sobie na śniadanie machnąć „set-  
kę” wódki. Sprzedawali ją wów-  
czas w takich małych butelcz-  
kach. Policja nie patrzyła jeszcze  
wtedy tak bardzo na te sprawy.  
W nocy sami przychodzili, żeby  
sobie tyknąć. Mówili nawet nie-  
którzy, że krzywdy sobie nie  
zrobimy, ale to nie była prawda.

znalazłem. Tylko drynda osta-  
ła. A i to był cud.

Zapalamy papierosa. Pan  
Antoni bardziej, jak mówi,  
dla towarzysstwa niż z praw-  
dziwej potrzeby.

— Kiedy zamknę oczy, widzę  
tamto miasto elektańsze niż dzis-  
isiaj. Choć nie było neonów, to  
na ulicach było całkiem wiele  
Okna sklepowe się świeciły, pięk-  
nie przyozdobione. Ale to w  
środmieściu, bo wtedy było także  
kręciło ludzi niż teraz. Więcej  
było takich, co nie musieli rano  
wstać do roboty. Zawsze lubi-  
łem wyjechać już do dnia. Wie-  
dy miasto było jakby czystsze,  
uszykowane ładnie do nowego  
przeżycia. Teraz dzienne Marki  
wychodzą na świat. Buczają sy-  
reny w fabrykach, a ze sobą cią-  
gnęły furmanki z towarami na  
rynek. Od siódmej do dziesiątej  
wzrosło się najmniejszych do pra-  
cy. Od dziesiątej do popołudnia

jeździli przemysłowcy, handlarze  
i urzędnicy. A potem aż do dzie-  
wiatej był z reguły zastój.  
Zajężdżałem wtedy do domu, by  
odpocząć przed wieczorem. Niech  
pan powie, czy coś się zmieniło?  
Tylko „dziwczynki” nie tańce  
już dzisiaj policyjne budy.

Pan Antoni śmieje się teraz  
do jakichś własnych, zapom-  
nianych już myśli.

— W nocy to, widzi pan, cał-  
kiem jest inne życie niż za dnia.  
Są ludzie — nietoperze, sowy i  
hieny; co bobrają w ciemno-  
ściach, a przy słońcu znikają. Wte-  
dy świat się przetraca na od-  
wrotną stronę. Iluż to dziwaków  
wzrosło się wieczorami! Jeden ta-  
ki to siedział pod budą, kazał się  
wleźć za miasto i wygłaszał prze-  
mowy. Już wtedy mówił, że świat  
ma się ku końcowi. Na początku  
słuchałem, a potem ucinął sobie  
człowiek drzemkę i budził się  
na sam finał. Ile się pan nastu-  
chał lotrostw i machlojek wy-  
mawianych szepem. A raz, jak  
wziłem ważnego Żyda w takiej  
futrzanej czaple, to obsiadł do-  
rożkę kilkadziesiąt cieni. Cmokali  
i pomrukiwali, kiwali głowami  
i zawadzili. Na Lubartowskiej  
myślałem że mi chyba potamia  
dorożkę. Tak jakbym wioził pra-  
dziwego Klepury. Każdy chciał  
dotknąć miejsca, gdzie on sie-  
dział, a nawet gdzie tylko stąpa-  
ła jego stopa. Taki był wtedy  
fanatyzm u ludzi. Ledwo stam-  
tąd uciekłem, chociaż zapłacił  
dobrze. Raz znowu na Kołminku  
mało nie zarobiłem nosem, jak  
to się dwóch takich biło na śro-  
dku jezdni, że ani przejechać. Gdy  
się człowiek zatrzymał, to wska-  
kiwali na Koziol i żądali pienię-  
dzy. Jeden z nich skądś mnie znał  
i tylko dlatego obył się bez tra-  
gedii. Po nocy więc nie lubiłem  
długo jeździć. Dorożka to nie au-  
to że siedzi człowiek pozamyka-  
ny jak w żelaznym pancerzu. A  
co do prostytutek, to musieliśmy  
znać i takie miejsca. Wtedy się  
dopiero kurs naprawdę opłacał.  
W tym fachu, tak jak i dzisiaj,  
najlepiej wiedzieć wszystko, co  
się gdzie wydarza. Ludzie w  
ciemnościach potrzebują bardzo  
różnych rzeczy. Tak bardzo ich  
potrzebują, że i płaca dobrze.

Gdzieś po mieszkaniach stu-  
kają talerze. Nad dzielnicą  
wisi teraz smrodliwy zapach  
z okolicznych przetwórn.  
Syn pana Antoniego, który  
mnie tu przywiózł, wygląda  
przez okno. A pan Antoni  
coraz żywiej wkracza we  
własne wspomnienia. Takie  
otwarła są najczęściej spr-  
awą jednej tylko chwili. Są  
jak buszowanie po obrzeżach  
czasu. To niezwykle, jak wie-  
le reporterskiej prawdy mo-  
żna odnaleźć w mijanym  
bezożumnie człowieku.

— Kiedy zamknę oczy i patrzę  
do tytu — kontynuuję — to może  
i nie zrobił człowiek czegoś nie-  
zwykłego, ale przez to jeździłem  
nie przesiedziałem życia w clas-  
nym pokoiku. Zaraz po wojnie  
też był wielki ruch, jakby ludz-  
ka w tym pośpiechu wyrażał  
radość, że żyją. Ruszało się wte-  
dy chyba wszystko, co mogło się  
poruszać. Jedni powracali, a dru-  
dzy właśnie odchodzili. Ile pow-  
stało wtedy fortun, co przetrwa-  
ły do dziś. Wtedy było chyba na  
świecie najwięcej cwaniactwa. Ja  
wiem, że pan by chciał o doro-  
żce, o tym, jak się robiło drobne  
szwieldeki i ile co kosztowało: jak  
się nabierało wiejskich „Jrečko-  
stojów” i co człowiek zobaczył  
w mroku nocnych lamp. Ale dla  
mnie jeździć to było jak życie.  
Obrazki kolorowych nie pamię-  
tam tak dobrze, ale najbardziej  
pamiętam rozmowy z ludźmi.  
Wtedy nie tak tak dzisiaj w tak-  
sówce, mógł się człowiek doz-  
perać do cząsteczki drugiego. Wie  
pan, ja myślę, że my tak trochę  
zujemy odbici od innych. Prze-  
glądam się teraz w moich pase-  
nerach. Ich dawno już nie ma i  
mnie też nie będzie, bo nie ma  
już przecież także i tamtego świa-  
ta. Pozostała tylko „drynda” u  
syna na działce. Dzieci po niej  
skaczą w sobotę i niedzielę, ale  
i ja czasami sobie przysiadę na  
koźle.

Niech pan to opowie własnymi  
słowami. Ja to tylko czuję.

I odszedł pan Antoni, a  
nasze spotkanie następne już  
się nie udało. Może zabrakło  
szorstkiego wiatru i jakichś  
cieni na niebie?

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasfiski (sprawy literackie), Ireneusz J. Kamiński. Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych niestrzeżona sobie prawo skróć.  
Druk Lubelskie Zakłady Graficzne im. F.KWN w Lublinie, ul. Unicka 4.  
Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 235-24.  
Adres redakcji: 20-028 Lublin, ul. Skłodowskiej 21.  
Telefony: sekretariat redaktor naczelny 235-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-36. Korespondencje prosimy kierować pod adresem:  
20-160 Lublin, skrytka pocztowa 211, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.